

Spojrz— co w duszy jest zwątpienia,
Ile w oku smętnych łez;
O! Cherubie pocieszenia!
Łzy me otrzyj, serce ciesz.

Patrz, nademną burze wieją,
Gorzka boleść duszą włada,
O, Cherubie! spiesz z nadzieją,
Niech jéj rozpacz nieosiada.

Synu niebios— rzuć spojrzenie,
Na mych wielkich cierpień tłok,
Na me w sercu rozstrojenie,
I na mojéj duszy mrok.

O, Cherubie pocieszenia!
Unieś z niebios krople rosy,
Rozbudź me jasne marzenia,
Jaśniejsze przywołaj losy.

Patrz— tu liście oderwane,
A tu więdnie miły kwiat,
Stoi dziecię zapłakane,
Narzekając na ten świat.

O, Cherubie pocieszenia!
Niechaj listka, ani kwiatu
Nie ma dziecię przeznaczenia,
By złorzeczyć temu światu.

Niech twe skrzydło lazurowe,
Porozwiewa tłum tych mar,
A twoje usta różowe,
Odprzyroczą serca czar.

O, Cherubie pocieszenia!
Przewiąż mi je szarfą białą,
Niech modlitwy rzewnéj tchnienia,
Leczą duszę rozbolałą.

A gdy będziesz mi przyczyną,
Ukazując pociech zdrój,
To liljami i dębiną,
Zwieńczę wiosną posąg twój.

Klęknę kornie, o mój złoty!
Gdzie klęczała moja miła,
Gdzie mnie dzieckiem wśród pieszczoty,
Ręka matki unosiła!

Adam Chodyński.

SPRAWOZDANIE

z audiencji udzielanych szambelanowi Łojko, posłowi nadzwyczajnemu króla i Rzeczypospolitéj polskiéj, w Wersalu 1766 r.

Jest to jeden ustęp z pozostałych po Feliksie Łojko rękopismów, które w jednym zbiorze, wraz z jego już drukowanemi dziełami, zamierza wydać jego prawnuk. Wiadomo nam, że inne pisma wahają się umieszczać artykułów tego rodzaju, lękając się, żeby się nie wydały nudne *ich czytelnikom i pomnąc, że tylko powieść daje powodzenie czyli większą liczbę prenumeratorów, jednak my, lubo nie pogardzamy powieścią i uznajemy jéj znaczenie w literaturze, chcemy pamiętać zawsze, że obowiązkiem pisma perjodycznego nie jest schlebianie gustom chwili, ale dogadzanie rzeczywistym potrzebom umysłowym społeczności, więc czy to z dziedziny nauk przyrodzonych, czy z historji, nie cofniemy się nigdy przed drukowaniem artykułów poważniejszéj treści, byle nauczających pod jakim bądź względem. Wszystko zaś co się odnosi do męża zna-*

komitego w narodzie, jakim był niezaprzeczenie Feliks Łojko, obojętném nam być nie powinno. On wprawdzie nie bronił zasad owéj złotéj *wolności, które kraj gubiły, ale torował drogę nowym pojęciom, które go zbawić mogły. Jest to postać występująca wybitnie w literaturze naszéj XVIII wieku, tak mało dotąd obrobionéj. Prace jego ekonomiczne, bezwątpienia niższe od dzisiejszego stanu nauki, ale rozjaśniają ważne fakta historyczne z czasów Stanisława Augusta, poruszają żywo sprawę przemysłu i handlu, lekceważonych z tak dotkliwą dla kraju szkodą przez stare przesądy.*

Juljan Bartoszewicz pisząc dwa razy o Feliksie Łojko, raz w swojém dziele: Znakomici mężowie polscy, *drugi raz* w Tygodniku illustrowanym (r. 1860, str. 73); *mówi, że rodzina ta z Litwy przeniosła się do Wielkiéj Polski, i zaczęła być znaną dopiero za czasów króla Jana III; Feliks urodził się 1717 roku, uczył się u Jezuitów w Poznaniu, potém w Akademji wojennéj w Lignicy na Szlązku, wreszcie podróże po Europie dopełniły jego edukacji. Pilny, pracowity, ciekawy do nauki i systematyczny zarazem, umiał więcéj od swoich rówienników w Polsce, i dla tego za Sasów stał się jedném z ogniw tego stronnictwa, które domagało się naprawy Rzeczypospolitéj. Dostawszy się na pazia do dworu Augusta III, z kolei został kamerjunkrem i szambelanem; Stanisław August potwierdził go na szambelaństwie i przywiązał do swego boku. Wkrótce późniéj wysłał go do Francji, z poselstwem którego opis skreślił sam Łojko w języku francuzkim, jak się zdaje już po powrocie do kraju.*

(Przypisek Redak.).

Sprawozdanie z posłuchań tak publicznych jak też osobistych, udzielonych mi jako posłowi Nadzwyczajnemu Króla, oraz z tego co każdy z Ministrów tak przybywających jako też odjeżdżających dopełnić winien, bądź to względem Dworu, bądź względem Ministrów obcych Państw, przebywających przy tymże Dworze.

Dnia 12 Marca, wypocząwszy po podróży, napisałem list do J. O. Księcia de Praslin ministra sekret. stanu spraw zagranicznych, uwiadamiający go o mojém przybyciu do Paryża, w charakterze posła nadzwyczajnego J. K. M. Króla Polskiego, z zawiadomieniem J. K. M. o wyborze i koronacji — i jednocześnie upraszający go o wyznaczenie dnia, w którym mógłbym oddać mu wizytę i wręczyć kopję listu wierzytelnego.—List ten posłałem dla pozostawienia go u szwajcara pałacu Księcia w Paryżu, u którego również wpisałem adres, ażeby wskazać miejsce przesłania mi odpowiedzi tegoż ministra. Jednocześnie napisałem i wysłałem dwa inne listy, jeden do p. de Lalive, przewodnika ambassadorów, a drugi do p. de Segueville, sekretarza przybocznego J. K. M. do spraw ambassadorskich, zawiadamiające również o mojém przybyciu, w charakterze posła nadzw., i o chęci porozumienia się z niemi co do posłuchań.

Dnia 13 Marca, otrzymałem w mojém mieszkaniu odpowiedź księcia de Praslin, w któréj oznaczał następną Niedzielę (t. j. 16 Marca) jako dzień przyjęcia mię w Paryżu w południe.—Tegoż dnia p. de Lalive zapisał się u szwajcara mego mieszkania.

Dnia 14 z rana, byłem zapisać się u p. de Lalive, a za powrotem do domu już po południu znalazłem nazwisko p. de Segueville wpisane u mego szwajcara; nadto tegoż dnia rozesłałem zawiadomienia do wszystkich ambassadorów i innych ministrów zagranicznych. [1])

Dnia 15 udałem się do p. de Segueville dla oddania mu wizyty, jak również dla przejrzenia wspólnie z nim ceremoniału posłów nadzwycz. który mi sam przeczytał.—Tegoż dnia baron de Gleichen Poseł nadzw. duński, u którego znajdowałem się na obiedzie wraz z ambassadorami: neapolitańskim, sardyńskim, weneckim i holenderskim, oświadczył mi, że zdaniem tych ambassadorów, niewłaściwie postąpiłem sobie, oznajmiając przybycie swe, i że powinienem był uczynić to dopiero po otrzymaniu pierwszego posłuchania (które to postępowanie należy do Ceremoniału ministrów, i ci nigdy o sobie nie zawiadamiają), lecz on jako poseł duński odpowiedział, że podobnie postąpiło już kilku ministrów, których ceremoniały posiada, nadto, że on sam podobnież postępował — nadmienił jednakże, że stosownie postąpię, oddając wizyty osobom, które mam zamiar zaprosić na obiad posłuchalny. Dodał w końcu, że ambassadorowie ci prosili mię o wstrzymanie się z oddaniem im wizyt aż do otrzymania audjencyi. Zwyczajem jest, że przybywający minister drugiego rzędu, zawiadamia o swém przybyciu ambassadorów, poczém dopiero oddaje im wizyty i wzajemnie odbiera od nich odwiedziny [2]). Co zaś się tyczy innych ministrów, to przybywający zawiadamia ich o swém przybyciu, oczekując ich wizyt, sam zaś oddaje im takowe późniéj.—Przyjętem jest, że Ambassadorowie i inni ministrowie kommunikują takowe zawiadomienia swym sekretarzom i ci ostatni bez wszelkich osobnych zawiadomień,

---

[1]) Ambassador hollenderski, który otrzymał moje zawiadomienie, i prosił o wstrzymanie się z oddaniem mu wizyt, aż do otrzymania pierwszego posłuchania, pozdrawia mię w swym liście z okoliczności mego przybycia.

[2]) Wzór tych zawiadomień udzielony mi został przez p. barona de Gleichen, posła nadzwyczajnego duńskiego.

składają wizyty nowo przybyłemu, który następnie oddaje im takowe nawzajem.

Nie oddawałem zatém ceremonialnych wizyt ambassadorom (albowiem jedną przyjacielską księciu de Stahremberg, ambassadorowi cesarskiemu, jako dawnemu znajomemu już oddałem), w imieniu których mówił mi baron de Gleichen, aż po otrzymaniu pierwszego posłuchania—lecz zastawszy w dwa dni późniéj od ambassadora maltańskiego bilet, z którego dowiedziałem się, że tenże ambassador przysyłał do mnie dworzanina z przywitaniem, z powodu mojego przybycia, mogłem już udać się do jego pałacu, a następnie do pałacu nuncjusza, poczém obadwaj przybyli nawzajem do mnie, nie czekając na pierwsze moje posłuchanie.

Jest zwyczaj przyjęty, że gdy minister oddając wizytę innym ministrom, oddaje takową osobiście, lub posyła bilet wizytowy, postępuje się takimże samym porządkiem i względem niego. Są jednak ministrowie, którzy uważają za uchybienie, gdy im się posyła bilety, tak jak ja postąpiłem względem ambassadora hollenderskiego, który mieszkał daleko od części miasta St. Germain, a nawet użalał się o to na mnie przed księciem Galicynem, ministrem pełnomocnym imperatorowéj rossyjskiéj, i kiedy tenże powiedział mi o tém po przyjacielsku, zapewniłem go, że ten mój błąd poprawię i w istocie udałem się do p. Berchenroode, który mię nawzajem odwiedził i wiele robił mi grzeczności. Tegoż dnia (15) znalazłem kilku ministrów drugiego stopnia zapisanych u mojego szwajcara [1]), a między innemi p. de Magellone sprawującego interessa Hiszpanji w nieobecności ambasadora tegoż państwa, i hr. d'Argentin ministra pełnomocnego księcia Parmy, których dwory nie przyznały jeszcze króla i nie miały uregulowanych pełnomocnictw.

Dnia (16) to jest w dniu przeznaczonym przez sekretarza stanu, do spraw zagranicznych, udałem się do niego, wręczyłem kopję listu króla do króla Francji, a gdy go przeczytał, zapytałem którego dnia mogę otrzymać posłuchanie. Książę de Praslin odrzekł mi, że do Wtorku to jest 18, (gdyż tylko we Wtorki ministrowie zagraniczni udają się do Wersalu i widzą króla), nie ma dosyć czasu do urządzenia ceremoniału posłuchania publicznego, które miałem otrzymać, a że następny po tém Wtorek przypada w wielkim tygodniu, sądzi więc, że wypadnie wstrzymać się do Wtorku po Wielkiéj Nocy, i że zresztą mówić o tém będzie z królem, i że zostanę uwiadomionym o życzeniu jego królewskiéj mości.

Od tego dnia po wizycie u ministra spraw zagranicznych, stosownie do etykiety i prerogatywy ministrów zagranicznych we Francji, jeździłem w karecie żałobnéj, (noszono bowiem żałobę u dworu francuzkiego po śmierci Delfina i króla Stanisława) i kazawszy nosić laski moim lokajom odbierałem i oddawałem ceremonialne wizyty ciału dyplomatycznemu. W czasie tych wizyt zwykło się przyjmować przy otwartych podwojach i odprowadzać odwiedzających do drzwi pierwszego przedpokoju.

Dnia 21 p. de Segueville sekretarz przyboczny, wyznaczony do towarzyszenia ambasadorom, przyjechał do mnie, a nie zastawszy, pisał dnia następnego 22, z uwiadomieniem, że król udzieli mi posłuchanie we Wtorek po świętach to jest: 1 Kwietnia, i razem prosił o przesłanie mu wcześniéj wiadomości co do przyjęcia w Wersalu ambassadorów ministrów zagranicznych, sprawujących interessa, i sekretarzy ambassad, których spis do listu dałączył, a to w celu, aby mógł wiedzieć liczbę osób, które przyjęły zaproszenia i naznaczyć ilość nakryć, których żądać będę, dla uwiadomienia o tém marszałka pałacu. Jest zwyczajem, że w dniu w którym poseł nadzwyczajny, otrzymuje publiczne posłuchanie (tylko ministrowie drugiego stopnia i posłowie nadzwyczajni otrzymują posłuchania publiczne), jest ugoszczany w Wersalu i zaprasza od siebie na takowe przyjęcia, oprócz ciała dyplomatycznego, wszystkie znakomite osoby swego narodu i cudzoziemców wysokich stopni, z któremi jest w niejakich stosunkach, lub którym chce zrobić grzeczność, lecz w takim tylko razie, jeśli osoby te były już przedstawione królowi. Jest niemniéj w zwyczaju żądać kilka więcéj nakryć, dla cudzoziemców, których ambassadorowie lub inni ministrowie mogą przywieść dnia tego do Wersalu, i których ciż ministrowie przedstawią temu, dla którego robi się przyjęcie. Pan de Segueville zapytywał mię również w swym liście, o ilość nakryć, jaką życzyłbym sobie mieć na stole przeznaczonym dla moich officerów, nakoniec o liczbę osób składających moją służbę, która miała być traktowaną tém, co zejdzie ze stołu. Dołączony był również do listu wykaz pieniędzy, które obowiązany będę wydać na podarunki w Wersalu, w dniu mego posłuchania.

Dnia 23 rozesłałem bilety zapraszające do wszystkich ambassadorów, ministrów i t. d. prosząc każdego o odpowiedź. Wzór tych biletów jest: P . . . . prosi P . . . ., żeby uczynił mu zaszczyt, zjeść z nim razem obiad w Wersalu dnia 1 Kwietnia u stołu królewskiego, z okoliczności jego pierwszego posłuchania.

[1]) Zapisuje się u szwajcara lub oddaje się bilet.

Dni następnych otrzymawszy prawie wszystkie odpowiedzi z przyjęciem lub odmową, napisałem do p. de Segueville żądając, czterdzieści pięć nakryć do stołu królewskiego, cztery do stołu officerów i podałem ośm osób służby.

Dnia 31 Marca w wigilię méj audjencji p. Segueville pisał do mnie, że wprowadzający ambassadorów wspólnie z sekretarzem przybocznym króla przybędą jutro (1 Kwietnia) o w pół do dziewiątéj rano do mnie, dla zawiezienia mię do Wersalu w karecie J. K. M., 31 zaś po południu posłałem moje dwie karety do Wersalu; pierwszą podwójną, drugą poczwórną, obiedwie pokryte żałobą z mojemi herbami na drzwiczkach, i zaprzężone cugami księcia Galicyna, ministra pełnomocnego Rossji, i p. Barona de Gleichen, posła nadzwyczajnego duńskiego. Posłałem także dnia tego czterech kamerdynerów i sześciu lokai, aby mię tam oczekiwali jutro w miejscu na to przeznaczonem, w bliskości stajen, około godziny 10 rano.

Można mieć do takich ceremonialnych wjazdów karetę samego ministra, który przewodniczy wjazdowi lub też kocz z siedzeniami na przodzie; druga dla officerów ministra, jest zawsze kocz. Pocztyljoni powinni być nie w kurtkach, ale w zupełném ubraniu. Zwykle pożycza się officerów, których potrzeba mieć przy sobie pewną liczbę, w ciele dyplomatycznem, ja zaś miałem takowych z domu ambassadora hiszpańskiego. Bierze się także na ten dzień z sobą liczbę lokai, jaką kto mieć żąda, lecz trzeba ich mieć najmniéj ośmiu, ubior zaś ich równie jak woźniców i pocztyljonów powinien być liberją posła.

Dnia 1 Kwietnia t. j. we Wtorek po Wielkiéj Nocy, p. Lalive wprowadzający, i p. de Segueville, sekretarz towarzyszący, udali się do mieszkania mego w karetach króla i królowéj czarno okrytych, około godziny 9 rano. Dwóch moich kamerdynerów i czterech lokai ze szwajcarem, którego miałem w mieszkaniu, przyjęli ich przy wysiadaniu z karet, ja zaś spotkałem ich w połowie schodów, mając po prawéj stronie wprowadzającego, i zaprowadziłem go do mego apartamentu, gdzie przedstawiłem mu hr. Morsztyna, który miał wsiąść ze mną do karety królewskiéj i p. kawalera d'Arigoni, który z p. de Segueville, miał wsiąść do karety królowéj, przy wyjściu zaś i zejściu ze schodów, miałem zawsze po prawéj stronie wprowadzającego aż do karety, do której p. de Lalive, wprowadził mnie najpierwéj i zająłem miejsce po prawéj stronie, sam zaś usiadł po lewéj, Morsztyn umieścił się na przodzie, a p. de Segueville, robił honory w karecie królowéj p. kawalerowi Arigoni; z tyłu każdéj z karet miałem po jednym lokaju. Zmieniono konie w Sèvres. Przybywszy do Wersalu zatrzymaliśmy się w miejscu do tego przeznaczonem w bliskości stajen, gdzie znowu zmieniono konie i tu zastałem moje karety i ludzi na mnie czekających. Skoro otworzono kratę, rozpoczął się wjazd do pałacu w następującym porządku.

Kareta wprowadzającego próżna — kareta królewska, w któréj znajdowałem się, służba moja przy drzwiczkach z prawéj, a wprowadzającego z lewéj strony—kareta królowéj— dwie moje karety, z których pierwsza próżna, a druga zajęta przez 4-ch moich officerów. Pzybywszy do kraty, służba moja i wprowadzającego opuściła drzwiczki, a służba królewska ich miejsce zajęła, moja zaś służba umieściła się przy drzwiczkach próżnéj mojéj karety, która w tyle postępowała.

Wysiadłem przed salą ambassadorów—karety moje zajechały w dziedziniec pałacowy i zostawały tamże do końca audjencji—gdyż tylko karety posłów przy posłuchaniach publicznych wjeżdżają w dziedziniec pałacowy.

Zastałem w sali ambassadorów, posłów i innych ministrów, oraz osoby zagraniczne, panów polskich, których zaprosiłem, gdyż jest zwyczajem, że osoby znakomite tego narodu, do którego poseł należy, towarzyszą mu przy publicznych posłuchaniach.

Czekałem w téj sali mojéj kolei. Sekretarz przyboczny towarzyszący, przybył oznajmić, że już czas wejść na górę, poczém zaczęliśmy wstępować w następującym porządku: służba sekretarza przybocznego, po niéj służba wprowadzającego, moja służba i officerowie, panowie polscy, jako to: jenerał-porucznik Goltz, hr. Ossoliński, hr. Morsztyn i kawaler Arigoni, sekretarz przyboczny przewodniczący pochodowi, i nakoniec ja, mając wprowadzającego po lewéj stronie.

Wszedłszy na schody i przeszedłszy sale straży i przedpokoje (odźwierni otwierali wszędzie tylko połowę podwoi) zatrzymaliśmy się w pokoju łoża królewskiego, gdzie się odbywa wstawanie, który to pokój poprzedza gabinet Rady, gdzie przebywał król. Sekretarz przewodniczący wszedł do tego gabinetu dla odebrania rozkazów, a gdy wyszedł prosił mię, abym wszedł, — otworzono połowę podwoi i wszedłem.

Sekretarz i wprowadzający przeprowadzili mię do krzesła królewskiego i zatrzymali się obok mnie lecz cokolwiek w tyle.

Panowie polscy weszli przedemną i rozstąpili się dla ułatwienia mi przejścia, zatrzymawszy się w tyle.

Król przyjął mię z nakrytą głową siedząc przy biurze, przy którém stał sekretarz stanu do spraw zagranicznych — oddałem ukłon ujrzawszy króla i postąpiłem ku niemu po drugim i trzecim jeszcze głębokim ukłonie,

w czasie którego król odkrył głowę—a gdy zacząłem mówić, znów ją nakrył. Skończywszy mowę, oddałem list królewski, który trzymałem w ręku, a jego królew. mość po przeczytaniu go, odpowiedział na moją mowę, zawsze jednak z nakrytą głową. Gdy król skończył, cofnąłem się do wyjścia nie odwracając, oddałem trzy głębokie ukłony, w czasie których król zdjął kapelusz, — za krzesłem króla i po bokach stało wielu panów, a kapitan gwardji na służbie będącéj, książę de Bauvaux niżéj biura bliżéj ku drzwiom — przedpokoje były napełnione.

(D. n.).

POGADANKI NAUKOWE.

TELEGRAF I JEGO BIURO CENTRALNE W PARYŻU.

(Dokończenie).

Pełen zapału człowiek, Romme, ożywił sprawę telegrafów; było to 1 kwietnia 1793 r.; odbywało się właśnie jedno z pamiętniejszych posiedzeń Konwencji. Tylko co bowiem dowiedziano się o zdradzie generała Dumouriez, i obwiniono Dantona o niejakie z nim spólnictwo. Danton się wściekał, nie żałował słów obelżywych przeciwnikom. Już zszedł z trybuny, a jeszcze wrzawa nie ustawała. Mimo wzburzenia tego nie solwowano jednak sessji i zaledwie zaczęły uspakajać się umysły, wszedł na trybunę Romme poważny i zimny. Przychodził prosić o mały zasiłek pieniężny, dla spróbowania nowego wynalazku. Przemawiając do połączonych komitetów naukowego i wojny, był słuchany z taką uwagą, jak gdyby mówił na posiedzeniu uczonych, a nie do deputowanych, którzy nie ochłodli jeszcze z gorączki dyskussji, z jakiéj nie jedna śmierć wyniknąć miała. „Obywatel Chappe (mówił) przedstawia dowcipny sposób pisania w powietrzu, za pomocą znaków prostych jak linja prosta z któréj się składają, bardzo wyraźnych i szybkich" i nie wchodząc w szczegóły przyrządu, zwrócił uwagę na pożyteczność jego w czasie wojny; przedewszystkiem prosił o zezwolenie na próbę, któraby pokazała czy można zaufać wynalazkowi. Konwencja podpisała dekret zezwalający na tę próbę, w którym było powiedziano: „Komitet nauczania publicznego wyznaczy dwóch członków, aby byli przytomnemi próbie, na pokrycie zaś jéj kosztów daje się 6,000 liwrów z funduszów wojennych".

Telegraf zatem stawał w rzędzie wynalazków tegoczesnych i miał wejść w użycie publiczne.

Skutkiem próby pomyślnie odbytéj 1793 r., Konwencja narodowa wydała dekret, że udziela obywatelowi Chappe nominację na inżyniera przy telegrafach z odpowiednią pensją i jednocześnie poleciła komitetowi ocalenia publicznego niezwłoczne zbadanie, w jakim kierunku, postawienie telegrafów jest dla Rzeczypospolitéj w obecnych okolicznościach niezbędne.

Zabrał się tedy Klaudjusz Chappe do pracy z zapałem niezmordowanym. W administracji która nie miała przeszłości, wszystko należało tworzyć dopiéro, tak robotników jako i instrumenta. Papiery publiczne spadły o 50 procent, wszystko co było dorosłego, zaciągało się do wojska przeciw nieprzyjaciołom Francji, nie było więc, ani ludzi do pracy, ani materjału.

Nikt jednak się nie cofnął, rozpoczęto budować szesnaście stacji od Paryża do Lille, z bardzo małemi funduszami. Brakowało piaskowca do roboty, otworzono więc nowe kopalnie, drzewo wycinano z lasów rządowych, a robotników ściągano pod przymusem. Bracia Chappe musieli przyłożyć rękę do wszystkiego; byli kolejno architektami, budowniczemi, mularzami, cieślami, mechanikami, słowem byli wszędzie. Komitet ocalenia publicznego, którego nie słuchać było wtedy niebezpiecznie, upoważnił wynalazców telegrafu, stawiać swoje maszyny na wieżach, na dzwonnicach, słowem wszędzie, gdzie im tylko z oszczędności wypadło. Wolno im także było wycinać drzewa, które zasłaniały widok od stacji do stacji, za stosownem wynagrodzeniem właściciela. Podczas kiedy bracia Chappe'a byli na linji, on sam został w Paryżu i kierował budową machin. Po za tą robotą, zabrał się jeszcze do wyuczania przyszłych urzędników, którzy mieli kierować telegrafami. Skoro nauczył jednego, rozpoczynał z drugim, nie miał i chwili wytchnienia, lecz też i robota postępowała. Trzynastego fruktidora drugiego roku Rzeczypospolitéj, Konwencja podczas jednego posiedzenia ode-

brała depeszę i odpowiedziała na nią; zapał był ogromny, a ciekawość pełna zazdrości w całéj Europie. Jak wszystkie dzieła genjuszu, przyrząd który złożył dowody takiéj szybkości i potęgi, był nader prosty: składał się z trzech sztuk: pierwsza nazwana *regulatorem*, była prostokątem podłużnym 13 cali szerokim, a 14 stóp długim; osadzony był przez środek na osi, na któréj się mógł swobodnie obracać. Na każdym końcu regulatora była utwierdzona inna sztuka ruchoma 6 stóp długa, zwana *wskazówką* (indicateur). Takie były części widoczną telegrafu, wskazówki zaś opatrzone były ołowiem dla równowagi i mogły zakreślać koła, wszystko zaś wyniesione było co najmniéj na 14 stóp nad dachami zabudowań stacji, ażeby poruszenia telegrafu mogły być dokładnie widziane. Przyrząd ten wprawiany był w ruch za pomocą druta, którym kierował urzędnik, drugi zaś urzędnik miał przed sobą dwie perspektywki, skierowane ku dwom stacjom sąsiednim. Po różnych kombinacjach utworzono dziewięćdziesiąt sześć znaków, z których Chappe ułożył trzy słowniki, każdy po 92 stronnic mający. Pierwszy słownik składał się tylko z wyrazów, drugi wskazywał zdania najbardziéj używane, trzeci nazwy geograficzne. Każdy taki słownik, każda stronnica i każdy sygnał, były oznaczone odmiennie. Gdy chciano zatelegrafować np. wyraz *posłać*, który był zapisany czterdziesty szósty z kolei, na trzydziestéj czwartéj stronnicy słownika, robiono telegrafem sygnał odpowiadający 34 i niezwłocznie po tém sygnał odpowiadający 46. Nic nie było bardziéj prostego i racjonalnego, ale dziś te pomysły wydają się nam niezmiernie zacofane, od czasu jakeśmy przywykli do nieobliczonéj szybkości telegrafów elektrycznych; zawsze jednak wyznać trzeba, że wynalazek Chappe'a był rzeczą godną podziwu.

W pierwszych szczególniej czasach, urzędnicy robili wiele pomyłek, każdy z nich potrzebował przynajmniéj ośm miesięcy nauki, ich niedoświadczenie sprawiło wiele opóźnień i przekręceń, ale najgłówniejsze powodował zawsze stan atmosfery. Mgła i noc zbyt ciemna, bywały zawsze nieprzepartą przeszkodą do przesyłania depesz; tak samo i wielkie gorąco podczas którego migotanie się światła niedozwalało widzieć dokładnie sygnałów, wtedy urzędnicy zakładali ręce w bezczynności i telegraf milczał. Wszystko to robiło tyle przeszkód w usłudze telegrafów, że napisano słusznie, że na 8,760 godzin które tworzą rok, zaledwie jest 2190, w których można używać telegrafu powietrznego.

Jedno porównanie wystarczy do pokazania, jaką odmianę zrodziła elektryczność w przesyłaniu depesz. Wiadomość o śmierci cesarza Pawła I-go (13 marca 1801 roku), szła z Petersburga do Londynu 21 dni, a wiadomość o śmierci cesarza Mikołaja (2 marca 1855 roku), doszła tamże w cztery godziny i kwadrans; ta zmiana jednak nie dopełniła się od razu, i wiele czasu upłynęło nim mechanika zastosowała zasady podane przez naukę.

Mówiliśmy, że Chappe, pracując nad wynalazkiem telegrafów, myślał o elektryczności, i oprócz tego było jeszcze kilka prób tego rodzaju, w XVIII wieku, ale naturalnie nie doprowadziły do niczego, trzeba było bowiem pierwéj oznaczyć prawa elektryczności, nimby się ją jako czynnika użyć dało. Bez Volty, Oerstedt'a Amper'a i Arago nie byłoby nigdy telegrafu elektrycznego, lubo oni nie pracowali nad jego mechanizmem, ale główne wskazali zasady.

Jednakże od teorji rozwiniętéj przez wielkich fizyków, było jeszcze daleko do płodnego w skutki naszych czasów wynalazku i wiele jeszcze czasu upłynęło, zanim użyto elektryczności do korrespondencji. Pierwszy telegraf elektryczny był urządzony między Londynem a Liverpoolem przez Wheatstone, a plan jego był podany w 1736 r. pod rozpoznanie akademji nauk w Paryżu; w 8 miesięcy późniéj taż akademja przeglądała przyrząd wynaleziony przez Morsa professora w Nowym-Yorku. Pierwsze zaś linje telegrafu elektrycznego pokazały się Francji w 1844 roku, a od piętnastu lat dopiero, służą także na użytek prywatny. „Francja (powiada pan Maksym du Campe), która się sama uważa za naród światły, pełen inicjatywy i gotów do wszystkiego, często nie okazuje się dosyć pochopną do rzeczy postępu; rutyna zatrzymuje ją zbyt długo na ciasnych drogach, i nieraz wiele czasu upłynie, nim rzecz wygodna, użyteczna i praktyczna znajdzie u nas przyjęcie i w obyczaj wejdzie". Dziś Francja posiada 128 miljonów metrów linji telegraficznych; 100 miljonów należy do rządu, a 28 do kompanji kolei żelaznych i te są na usługi żelaznéj drogi. Dyrekcja główna ma swoje biuro centralne w Paryżu na ulicy Grenelle Saint-Germain; jest to jakby punkt środkowy szeroko rozciągniętéj pajęczyny, *kuźnia depesz*, które tu fabrykują dzień i noc nie znając pokoju i odetchnienia; tu stuka przyrząd Morsa, tam szemrze przyrząd Hughes'a nie zatrzymując się nigdy.

Warto doprawdy obejrzéć bliżéj ten pałac elektryczności.

Podwórze jest chłodne i puste, otoczone murem jak koszary, w głębi widać wieżyczkę z któréj niegdyś wysyłano sygnały w powietrze, lecz dziś już zdjęto maszyny Chappe'a i skasowano perspektywy. W dawném główném obserwatorjum założono skład rupieci. Na podwórzu napotykamy zaprzężone wózki,

które wyjeżdżają co dziesięć minut z depeszami; wchodzi się wprost do wielkiéj sali, gdzie na szerokich stołach stoją *stosy galwaniczne*, dostarczające potrzebnéj do obsługi elektryczności. Jest tam około 6,000 elementów *Mary Dawy* [1]), nad niemi jeden urzędnik czuwa bez przestanku. Z temi stosami łączy się 60 drutów, które wychodząc z biura centralnego, przebiegają pod spodem Paryża czepiając się muru, ścieków i katakumb, lub gubiąc się w kanałach umyślnie na ich przyjęcie zbudowanych. Niekiedy łączą ich kilka razem, odosabniając każdy drut starannie obłożeniem gutaperki. Można tu powiedzieć nawiasem, że nie małe powodzenie miałby wynalazca, któryby odszukał jaki inny materjał odosobniający. Gutaperka bowiem dobra wtedy, kiedy jest osłoniona, niszczy się prędko, gdy wystawiona na działanie powietrza i otwiera elektryczności tysiące drobnych dróg, w których ta traci swą siłę i działalność.

Nad salą, gdzie ustawione są stosy, jest sala drutów, które rozciągnięte są wzdłuż ściany na malowaném drzewie, w taki mniéj więcéj sposób, jak struny fortepianu. Przy każdym drucie jest podwójny napis na tabliczkach z kości słoniowéj; nazwa stacji do któréj zmierza, np. *Place du Havre*, *Bordeaux* i nazwa drogi przez którą przechodzi *Catacombes* Nr. 8 i *ściek* (Egout) Nr. 123, jest to niejako książeczka legitymacyjna drutów Paryzkich. Jak tylko który przestaje być czynnym, łatwo naprawić część zepsutą, skoro się wie jego punkt wyjścia i kierunek.

Biuro centralne jest właściwie na 2-em piętrze, dzieli się na dwie wyraźne części: sala przechodniéj kommunikacji i Paryzka. Pierwsza odbiera te wszystkie depesze, które czy to z prowincji do prowincji, czy też z krajów obcych przechodzą koniecznie przez Paryż. Cztery oddziały złożone z 96 urzędników, zmieniają się co 4 godziny; odbierają depesze i w téj chwili wyprawiają je w świat dalszy. Z tego biura dostarczają także agentów stacjom Paryzkim, kiedy tam jaki urzędnik zachoruje lub jest nieobecny. Na ten cel jest zawsze gotowy oddział z 25 ludzi; jeżeli która stacja daje znać o braku urzędnika, dyrektor wymawia nazwisko, a jeden z tych 25 chwyta kapelusz i biegnie. Ten oddział nazywają *brigade volante*. Publiczność nie domyśla się, jak nieustanne robią się usiłowania, aby była dobrze usłużoną.

Przejdźmy teraz do sali paryzkiéj. Tam sto dwadzieścia urzędników, podzielonych na dwa oddziały siedzi cały dzień. Pochyleni nad 96 przyrządami rozwijają wązkie taśmy papieru baczni na każdy sygnał; korrespondują oni z 48 stacjami miasta i ze wszystkiemi jakie są, w departamencie *Sekwanny*. Niektórzy z tych młodych ludzi, o wybladłych licach zdradzających zmęczenie, mają ksiażkę przy sobie, sądząc zapewne, że znajdą chwilę wolną do przeczytania czegoś, lecz wątpić można, żeby kiedy skończyli zaczęty perjod; przybywa depesza, potem druga, trzecia i idzie daléj bez przestanku ta praca jednostajna, a różna tylko układem i tłomaczeniem znaków, które tak łatwem czyni omyłki, pomimo to jednak nie częste. Biuro paryzkie nie zamyka się przez całą noc; 7 urzędników czuwa od godziny 9 wieczór do północy, a 4 od północy do 8 z rana. Mogą korrespondować ze stacjami Luvru, wielkiego Hotelu, gieldy i kolei żelaznych, które się nigdy nie zamykają.

Cała ta manipulacja męczy nadzwyczaj pracujących; jest ich dwóch zwykle przy jednym przyrządzie, jeden odbiera albo wyprawia depeszę, drugi tłomaczy znaki na wyrazy, jeżeli przyszła za pośrednictwem przyrządu Morsa, albo ją odcina, przylepia na arkuszu, jeżeli przyrząd Hughes'a ją przyniósł.

Ci urzędnicy zmieniają się co dwie lub trzy godziny. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że to rzecz niewielka siedzieć na krzesełku w obec machiny, która wszystko sama niby robi; śledzić oczyma co ona pisze, rozwijać zwolna taśmę papieru, oto wszystko co się na pozór przedstawia. Ale ta robota, żeby była dobrze zrobioną, potrzebuje szybkości w ręku, baczności w spojrzeniu, nierozerwanéj uwagi; a często nawet i siły. Cała tu więc istota czynną być musi, chwilka opuszczenia się może sprowadzić omyłkę, któréj nadzwyczaj unikać należy. Nie ma więc człowiek chwili spoczynku, cały jego system nerwowy jest pobudzony; depesze różnéj treści w różnych językach, przybywają tak często, tak niezmordowanie, jak ruch wahadła w zegarze. Dodajmy do tego nieustanny hałas przyrządów, ten stuk suchy, urywany, drażniący najsilniejsze nawet organizmy. Jakaż jednak jest nagroda, za taką robotę?.... będąc nad etatowym blisko dwa lata, który to czas potrzebny jest do nauczenia się służby telegrafów, urzędnik francuzki dostaje 1,400 franków rocznie!! Wprawdzie co dwa lata może się spodziewać dodatku, jednak gdy po ośmiu latach dojdzie do 2,400 franków, może się nazwać szczęśliwszym od wielu. Bolesny jest obraz takiego losu i zastanawiając się nad położeniem urzędników tak potrzebnych krajowi, tak gorliwych w swéj pracy, że aż przez

---

[1]) Mary Dawy który wprowadził w użycie siarczan rtęci, do otrzymywania elektryczności, i jego system został niedawno przyjęty przez administrację telegrafów w Paryżu.

nią wycieńczonych na zdrowiu,jakże nie żałować tych pieniędzy, które się u nas często wydają, na zbytkowe reprezentacje.

Co do lokalu, w jakim się mieści administracja, nie można jéj czynić wyrzutów, wzięła bowiem taki, jaki jéj dano. Już sam punkt gdzie się mieści najniedogodniejszy; daleko od giełdy, daleko od ulic handlowych, daleko od Tuilleriów, daleko od ministerstwa spraw wewnętrznych. Doprawdy, tylko we Francji widzieć można takie anomalje, (nie zapominajmy że to francuz mówi). Główne biuro pocztowe haniebne, biuro telegrafów najniedorzeczniejsze, wartoby jednak zaradzić takiemu stanowi rzeczy, który zwraca uwagę wszystkich i może szkodliwy mieć wpływ na obsługę publiczną.

Gdy nadejdzie do biura centralnego depesza adresowana do Paryża, przesłana jest do stacji telegraficznéj, najbliższéj mieszkania adresanta; tam urzędnik ją przepisuje, pieczętuje i wysyła niezwłocznie na miejsce przeznaczenia. Duplikaty depesz zachowują się 3 dni w biurze ekspedjującém, a cały rok w archiwum główném. Gdy z powodu złego adresu, posłaniec nie może odszukać adresanta, depesza odsyła się do biura centralnego, gdzie ją zwracają do miejsca z którego była wyprawioną, choćby to był Petersburg lub New-York, z dodatkiem: *adres błędny*. Wraca zwykle z poprawionym adresem. Biorąc w przecięciu, 10,089 depesz dziennie przybywających do biura centralnego, 3,419 jest przechodnich, które się nie zatrzymują, 2,358 z prowincji do Paryża, 1,962 z zagranicy do Paryża, a z Paryża do Paryża 1,380.

Przyrząd Morsa, który dawniéj kreślił rylcem linje i punkta na papierze, robi dziś te same znaki atramentem, co zmniejsza pomyłki. Wydaje on głuchy stuk, przewlekły lub krótki, według tego czy znaczy kreskę lub punkt. Ten sam stuk powtarza się wiernie na następnéj stacji, są urzędnicy tak biegli, że z tych dźwięków pozornie jednostajnych, czytają depesze. Przyrząd Morsa jest łatwy do użycia, dla tych co pojęli jego mechanizm; łatwo przenośny, a więc wielkiego użytku w obozie. Ma jednak niektóre niedokładności : potrzebuje wielkiéj siły prądu, a więc w czasach deszczu lub mgły, gdy słupy podtrzymujące druty przemiękną, i staną się dobremi przewodnikami elektryczności, przyrząd funkcjonuje nieregularnie, ruchy jego są słabe i niewyraźne, tak, że trzeba kilka razy powtórzyć depeszę dla zrozumienia jéj, słowem, wygląda to, jak gdyby «przesłane uderzenie pięścią z Paryża, przyszło prztyczkiem do Bordeaux." Przyrząd Hugues'a który wszędzie zaczyna zastępować przyrząd Morsa, jest czynniejszy, szybszy, pewniejszy, tylko poruszanie jego jest bardziéj męczącem. Są to jakby klawisze fortepianu czarne i białe, na których są litery, numera i znaki pisarskie.



Fryderyka Bremer.

W gmachu biura centralnego jest oddział mechaników, gotowych każdéj chwili zaradzić małym, a częstym popsuciom przyrządów; na przypadek większego zepsucia, są przyrządy zapasowe, które niezwłocznie stawiają się w miejsce uszkodzonych.

Na jednych drzwiach wyczytać można napis: *publiczność tu nie wchodzi*. Tu bowiem jest gabinet, do którego przychodzą depesze tajemne. Ileżby to dali spekulanci giełdowi, gdyby treść ich mogli wiedzieć przed innemi. Tam to przychodzą wiadomości o śmierci monarchów i rewolucjach, abdykacjach, traktatach pokoju, wypowiedzeniu wojny i t. p.

Na dole mała sala zawiera 4 pantelegrafy Caselli'ego. Są one tam dopiero od lutego 1865 roku. Wiadomo, że ten przyrząd elektromechaniczny daje *fac-simile* wszystkiego co może być nakreśloném na papierze. Portret narysowany piórem i poddany pod wpływ przyrządu w Ljonie, będzie jakby zfotografowany w Paryżu. Ten nadzwyczajny rezultat otrzymuje się bardzo prostym sposobem. Na stacji wyjścia depesza zostaje napisaną na cynfolji, zwyczajnym atramentem i jeszcze zgęszczonym, aby był zupełnie złym przewodnikiem, depesza zaś umieszcza się na przestrzeni wypukłéj pozioméj, po któréj przebiega rylec żelazny, stanowiący koniec druta telegraficznego, rysujący linje ciągłe i równoległe. Na stacji przybycia taki sam rylec będzie naturalnie takie same ruchy powtarzał, podkładają więc pod niego papier umaczany w roztworze żółtego żelazo—cyanku potasu; litery depeszy oryginalnéj wyjdą tu regularnie i wyraźnie, ile razy bowiem na stacji wyjścia, rylec napotka atrament będący złym przewodnikiem, prąd elektryczny przebiegnie do rylca będącego na drugim końcu i sprawi na papierze przygotowanym chemicznie, zabarwienie błękitne. Do dobrego działania przyrządów trzeba, żeby ich poruszenia były zgodne zupełnie. Winniśmy ten cudowny wynalazek umiejętnéj kombinacji chemji z fizyką; ważną jest rzeczą szczególniéj, że tu pomyłka jest niepodobieństwem. Na ścianach sali pantelegrafów, wiszą różne rysunki i korrespondencje otrzymane przez kommunikację tych szatańskich machin. Desenie na kanwę, wzory koronek, depesze arabskie, chińskie, sanskryckie, portrety i podpisy, ozdobne najdziwaczniejszemi zakrętasami.

Depesze otrzymane w taki sposób są droższe, ale dają rękojmię, że nie ma w nich błędu.

W głębi podwórza pod wieżą jest wielka sala, przeznaczona na nauczanie kształcących się do służby telegrafów, naprzeciwko zaś jest sala doświadczeń, gdzie pan Guillemin bada elektryczność, nowych dróg dla niéj próbuje i poddaje pod rozbiór naukowy wynalazki tyczące się telegrafu. W pierwszych czasach telegrafji elektrycznéj, straszne rzeczy działy się na stacjach pod czas burzy; roztapiały się ostrze drutów i skraplały w ognistym deszczu; na kolejach żelaznych szyny i druty telegraficzne, groźne wymieniały iskry; trzeba było uciekać przed srogim gniewem Olimpu, lecz czarodzieje dzisiejsi, nie ulękli się tego hałasu. Panowie: Breguet, Froment, Bertsch wynaleźli konduktory, zupełnie różne od tych jakie na naszych budynkach widzimy, przedstawiają bowiem kształt książki w ośmnastce; przeznaczone są do bezpośredniego skommunikowania drutów elektrycznych z ziemią, a więc do dowolnego zmniejszania potęgi elektryczności atmosferycznéj pod czas burzy. Wszystkie stacje są takiemi konduktorami dziś opatrzone i żadnego już dla nich nie ma niebezpieczeństwa, tylko gdy grzmot huczy i błyskawice dają się widzieć, telegraf przestaje pełnić służbę i depesza zatrzymuje się w drodze. Pomimo tych wszystkich ulepszeń, korespondencja telegraficzna jeszcze nie weszła w użycie prywatne, tak jak to zapewne kiedyś będzie jéj udziałem. Ważne też jeszcze ulepszenie jest tu konieczne. Dotąd gutaperka jest najlepszym znanym materjałem odosobniającym, ale niszczy się bardzo prędko, jak to już było powiedziane, trzebaby więc przynajmniéj doskonale ją obwijać, żeby nie dozwalała rozpraszania się elektryczności. Na to możnaby użyć jakiéj włóknistéj materji roślinnéj, która napuszczona smołą dałaby się użyć w sposób zadawalniający. Na Archipelagu Indyjskim, rośnie obficie pewien gatunek palmy, któréj pień i osada liści 10 metrów długich, pokryte są włóknami czarnemi, cienkiemi a nader wytrzymałemi; ich widok przypomina gęste, twarde włosy. Indjanie robią z nich sznury; znaleziona w głębi morza po 60 latach kotwica, miała taką linę, wcale jeszcze nie nadgniłą. Jeden francuz osiedlony w Jawie 1842 roku, chcąc sprowadzić do cukrowni wodę nadzwyczaj zamuloną, położył w miejscu gdzie ściekać miała, rodzaj plecionki z włókna téj palmy, i ta odegrała rolę filtru, osadzając na sobie muł z wody. Otóż od 25 lat jak ją używają jest w dobrym stanie; leży w wodzie podczas czterech miesięcy, kiedy idzie fabryka cukru, resztę zaś roku suszy się na słońcu równikowem i wszystkie te zmiany temperatury, żadnego na włókna nie wywarły wpływu.

Wartoby doprawdy zwrócić uwagę na tę palmę.

Dodać tu jeszcze trzeba, że mimo wszelkich ostrożności, błędy, często nawet śmieszne wciskają się do depesz, np. po zamachu Orsiniego, telegrafowano do Niemiec: „*machina piekielna, cesarz i cesarzowa zdrowi, generał Roguet raniony*". Koniec téj depeszy zmieniono czy w czytaniu, czy w pisaniu *Roguet* na *Roquet* „jeden generał i piesek cesarzowéj ranieni.

Cóż znaczą jednak takie pomyłki, w obec usług jakie oddaje telegrafja elektryczna? Przypominamy sobie z podziwem, że 22 lat temu urządzono pierwszą linję telegrafów, we Francji która teraz jest w nieustającéj kommunikacji

z całym światem. Z Chinami przez telegrafy Rossji, z Afryką przez podmorską linję wód Śródziemnych, z Indjami przez Turcję Azjatycką i druty podwodne zatoki Perskiéj, a nawet z Ameryką przez ostatnie usiłowania podwodnego telegrafu na Oceanie.

FRYDERYKA BREMER.

Któż z nas nie zna choć jednéj powieści Fryderyki Bremer? przełożono je na wszystkie prawie europejskie języki. Po polsku mamy siedm jéj powieści, które wyszły, w *Wyborze przekładów z wzorowych pisarzy zagranicznych*, wydawanych przez księgarnię H. Natansona. Nie można Bremerowéj nazwać zupełnie szwedką, gdyż urodziła się w Finlandji, gdzie jéj rodzice byli posiadaczami hut (Hüttenbesitzer) w bliskości miasta Abo. Cztery lata miała dopiero Fryderyka (ur. w d. 17 sierpnia 1802 roku), gdy jéj rodzice sprzedali majątek i osiedlili się w Sztockholmie. Tu bogato od natury obdarzone dziecko, wzrastało otoczone miłością rodzeństwa, kształcąc się pod kierunkiem zacnych rodziców. Z wielkim zapałem wzięła się do nauki i badała pisarzy klassycznych różnych narodów; pomiędzy temi Szyller był jéj najulubieńszy. Dzieckiem już, składała francuzkie wiersze, chociaż w dziedzinie rymowanéj poezji nie zaszła późniéj daleko.

Gdy dorosła i zapragnęła działalności w szerszym zakresie, rodzice wyrobili jéj posadę nauczycielki w jednéj z pensji żeńskich, sama zaś kształciła się daléj i oprócz że posiadała kilka języków nowszych, stała się biegłą w greckim. Pisarzy tego narodu bardzo ceniła, twierdząc, że wielki wywarli wpływ na dojrzałość jéj umysłu i rozwinięcie talentu.

Późniéj, w czasie swego pobytu w Grecji, wyrażała się o tém z zapałem i wdzięcznością: „Niechże tu przynajmniéj w pełnych czci słowach wyrażę, com wam winna, wy moi najwięksi dobrodzieje, pomiędzy mędrcami przeszłości. Ty wielki miłośniku prawdy, głęboko myślący Sokratesie i ty mądry, wymowny Platonie! Ja za wami postępowałam wśród waszych gajów, chwytając wasze słowa, wasze nauki, smakując w nich, jak w olimpijskim nektarze. Dzięki wam, poznałam porządek i ład tego chaotycznego starożytnego świata, dzięki wam, nauczyłam się myśléć i poznawać, szukać we wszystkiem treści i podstawy. Za waszą pomocą, doprowadzoną zostałam przez stopnie myślenia do boskiego nauczyciela, który dopiero wtedy okazał mi się tém, czém jest od wieków, światłem świata, życiem wiekuistem. Przez was nauczyłam się lepiéj poznawać jego dzieła".

Fryderyka dalekie podróże odbywała z rodzicami swemi; była w stolicy Francji, co także na jéj wykształcenie nie mało wpłynęło. Oddawna próbowała sił swoich na polu literackiem, ale dopiero gdy się wprawiła w porządne obserwowanie i myślenie, gdy się nauczyła wyrażać jasno to, co czuła— wystąpiła z pierwszem dziełem swojem, p. t. „Obrazy z życia codziennego". Żywość obrazowania, dowcip miły i przyzwoity, jaki w tym utworze panował, zdobył jéj od razu poklask czytającéj publiczności. Nie było już tam śladu tego zwątpienia, tego upadku na duchu, jakie ją trapiły w pierwszych latach młodości, do tego stopnia, że rodzice przerażeni jéj stanem, wysłali ją do przyjaciołki w góry Norwegskie, ażeby przy jéj boku, w obec wspaniałych obrazów natury, ukoiła zbolałą duszę. Powieści jéj wydane następnie, jak: *Dom*, *Sąsiedzi*, *Córka Prezydenta*, *Kłótnia i Zgoda*, *Aksel i Anna*, *w Dalekarlji*, przedstawiają życie z tak pięknéj strony, tak są wdzięku pełne, że się czytają z wielką przyjemnością.

Fryderyka umie dyssonanse życia pogodzić, osłonić niejako własnéj duszy harmonją. Dążność jéj utworów czysto obyczajowa, a charaktery nakreślone subtelnym pęzlem artysty. Dotyka swém piórem najważniejszych zagadnień z rzadką wytrawnością sądu. Wdała się nawet w polemikę ze Strausem przeciwko jego dziełu: *Życie Chrystusa*, ale to, co o tém napisała było mało czytaném w jéj własnym kraju i dopiero w Anglji i Ameryce zyskało uznanie. Życie jéj z początku ciche, zamknięte w kółku wielbiącéj ją rodziny, późniéj stało się głośniejszem, gdy wśród licznych swych wędrówek zabrała znajomości z artystami, książętami i różnemi znakomitościami tego świata. Wszędzie była jak najlepiéj przyjmowana, a w północnéj Ameryce ze szczególném odznaczeniem uczczono w niéj nie tylko talent pisarski, ale i zacność osoby. Jéj dobroć, słodycz, miłosierdzie jednało jéj wszędzie licznych przyjaciół. Jéj umysł, pragnący reform różnego rodzaju, upodobał sobie szczególniéj Amerykę. Zaczerpnęła ztamtąd wiele pojęć, szczególniéj, co do równouprawnienia kobiety, które starała się rozpowszechnić w swojéj ojczyznie. Gdy tak gościła wśród republikanów, gdzie umiała so-

bie zjednać wielu stronników, straciła matkę i najdroższą z siostr. Odtąd życie jéj pozbawione zostało powabu; zostawszy osamotnioną udała się do Szwajcarji, a następnie do Włoch, gdzie starała się poznać zasady kościoła katolickiego, żeby porównać z reformowanym i szukać przyczyn, które te dwa wyznania ciągle rozdzielają. Była na posłuchaniu u Papieża, rozmawiała z nim o rzeczach tyczących się wiary i wyszła, wzruszona pełną prostoty powagą Ojca Świętego, oraz wyrozumiałemi jego słowy przejęta do głębi. Z Włoch wyjechała na Wschód i czyniąc zadosyć pragnieniom swéj tkliwéj duszy, zwiedziła Ziemię Świętą. Turcję badała zarówno, a w Grecji zachwycała się pomnikami starożytnéj sztuki, które lubo w zwaliskach, robią jeszcze takie wrażenie. Tu ożywiona łagodnym klimatem i wspomnieniami mędrców i bohaterów, których nawykła czcić od dzieciństwa, wzbogaciła umysł nowemi wiadomościami.Zarzucają jéj, że w opisach podróży wprowadza dużo osób i prywatnych stosunków, ale opisywała to piórem tak wdzięcznėm i malowniczem, że jéj się udało zająć niezmiernie czytelników. Ktoś inny mniéj zdolny, nie byłby wyszedł tak zwycięzko z tego rodzaju opowiadań. Wśród téj podróży skończyła ostatni swój romans: *Ojciec i córka*, i wkrótce potem wróciwszy do kraju umarła w ostatnich dniach 1865 roku, pod Sztockholmem we wsi Arsta, gdzie zjechała na święta Bożego Narodzenia.

Przy uczcie wigiljowéj, siedziała jeszcze zupełnie zdrowa i obdarzyła w najweselszym humorze gromadkę dziatek domowych licznemi podarkami na gwiazdkę. Na drugi dzień wracając z kościoła zaziębiła się, a choroba przybrała charakter tak gwałtowny, że zwątpiono o jéj wyzdrowieniu. Ona sama się też nie łudziła, i powiedziała do tych co ją otaczali, że odejdzie od nich razem z kończącym się rokiem. Strata jéj pokryła smutkiem kraj cały, była bowiem nie tylko poważana, ale kochana. Rzadki wdzięk i harmonję swego charakteru winna była bezwątpienia w części szczęśliwym familijnym stosunkom, pokojowi i miłości, jakie ją otaczały. Rzadko bowiem piękny się kwiat rozwinie z pączka, którym wcześnie burze miotały.

Szwedzka akademja na uznanie jéj literackich zasług, udzieliła jéj wielki złoty medal Karola Jana, ale stokroć świetniejszy jest wieniec uwity dla niéj, przez uznanie i miłość tysiąców.

TRZY MAŁŻEŃSTWA CHYBIONE.

Byłem dziś z rana smutny... Zkąd mi nadbiegła myśl pochmurna? Nie wiem. Są dnie że jedna okoliczność mało znacząca posępi nam czoło. List oczekiwany a nie doszły— wizyta niepożądana, a natrętna—śniadanie chybione, czas niepogodny; czasem jedna tylko z tych przykrości pognębi umysł i usposobi do ponurych myśli.

Ażeby rozproszyć dokuczający mi smutek, zacząłem układać w biurku; środek ten zawsze okazał mi się skutecznym.

W jednéj szufladzie znalazłem mój zielnik, i w nim wspomnienie, niestety! już troszkę zeschłe..... moich trzech narzeczonych.

O wy! odbiegłyście mnie, ale imiona wasze spoczywają w tym albumie, i z upodobaniem wpatruję się w nie (ale zdaleka) wzrokiem bardzo rozczulonym. Sumienie mnie niepokoi. Chciałem powierzyć całemu światu doznane wrażenia. O sobie mówić mogę. Ale czyż mam prawo rozgłaszać tajemnice drugich? Nie — tego nie uczynię. Wybaczcie więc, że wykreślę imiona tych trzech wonnych kwiatów, które były udręczeniem i zarazem urokiem pierwszéj wiosny życia mego, a nazwę je Azaleą, Narcyzą i Różą. Zdaje się, że te nazwy nie skompromitują nikogo.

Będąc jeszcze bardzo młodym, zamieszkiwałem w małem miasteczku, gdzie przebywała pewna rodzina, a w téj rodzinie była panna na wydaniu. Miała lat 20, nie była ani blondynka, ani brunetka, ale miła, ładna i zgrabna dziewczynka. Posiadała przytém nie mały posag, w związku więc z nią przedstawiała się urocza przyszłość.

Azalea podobała się powszechnie, wszędzie okrywano ją pochwałami, była to królowa naszego małego kółka.

Jaki rozum! jaki dowcip! Dawny przyjaciel moich rodziców mówił mi— „Oto kobieta jedyna na towarzyszkę życia, poczyń pierwsze kroki, świetna to dla ciebie partja"— Poważyłem się zrobić pewne uwagi. Ale gorliwy swat mój odrzekł mi: „Nic nie przychodzi bez pewnych trudów". Rodzina ta zajmuje wyższe stanowisko, panna przyjęła dobre wychowanie, serce ma doskonałe, nauki dostateczne i zaręczam ci, że wszystko pójdzie przewybornie." Ponieważ jestem charakteru wahającego się, szczęśliwy byłem, że znalazł

się energiczny człowiek, który mnie naglił do stanowczego kroku.

Zacząłem powtarzać moje odwiedziny. Z panem X. ojcem nadobnéj panny, grywałem w szachy, w bilard. Mamie przynosiłem kwiaty, a że lubiła tulipany, starałem się wybierać najładniejsze, co czasem rozczulało i moją narzeczonę. Wkrótce ośmieliłem się ofiarować jéj saméj książki i nuty, a nawet śpiewałem z nią dueta.

— Otóż to chwila przyjazna! rzekł do mnie mój przyjaciel. Znał on pewną szacowną damę, która także bardzo gorliwie zajmowała się swataniem, prosił więc jéj o zbadanie jak rzeczy stoją. Kobiety bowiem posiadają szczególne zdolności do dyplomacji.

Ta dama znalazła chwilę sposobną, aby przed panem X. przedstawić mnie w świetle bardzo korzystném, zapewniając go, że jestem typem doskonałych mężów, że posiadam wszystkie zalety i cnoty.

Takie rozpoczęcie dzieła, przyjazne rokowało mi następstwa.

Od tego dnia raczono ośmielać mnie tysiącem uprzejmości, i przez sześć miesięcy byłem w stosunkach ścisłéj zażyłości, piłem z niemi co wieczór herbatę, grałem w rumelpikietę z moim przyszłym teściem, rozżarzałem ogień na kominku, zapalałem świece do fortepianu, zamykałem drzwi żeby piesek nie uciekł i do niezliczonych tego rodzaju poufałości przypuszczony byłem. Wszystko to miało wiele podobieństwa do téj gry niewinnéj, gdzie nie można powiedzieć, ani tak, ani nie, ani pan, ani pani. Jednak mówiliśmy sobie pan i pani, ale z wyrazem tak i nie, mieliśmy się na ostrożności, i tak zwycięzko wyszliśmy, że żadne z nas nie dało fantu.

Jakie położenie! ile niepewności! bo trzeba wiedzieć, że i serce moje było wmieszane w tę grę, ale ono czasem po cichutku mówiło tak— czasem nie,— a czy powiedziało jedno, czy drugie, za karę skazane zostawało na jedną noc bezsenną.

O! godziny tak lekkomyślnie stracone, jakże was żałuję! Jak wielkiem dobrodziejstwem jest sen spokojny. Najpiękniejsze dni w życiu są tylko słabem odbiciem naszych uroczych nocy. Jakaż uciecha przewyższyć może tę, którą nam sprawia pierwsza chwila snu pożądanego? Spoczywając na miękkiéj pościeli, bez żalu odpływa się od brzegów życia. Szum pragnień i łez cierpkich, ustępuje uroczemu szmerowi zapomnienia. Szybko się płynie wzdłuż kryształowéj rzeki jasnych nocy, w których czasem spostrzegamy odbicie doznanych najwyższych radości. Za pomocą czarodziejskiego złudzenia widzi się, dotyka, spodziewa, i... Wszystko to ja traciłem z przyczyny, że wyrazu tak, albo nie, ani wymówić ani usłyszeć nie mogłem. Któż był temu winien? Nikt. Niczego nie żądałem, nie można mnie więc było niczém obdarzyć, niczego odmówić. Co dzień mówiłem sobie: posunę się czy też cofnę?— Jaką byliby mnie uczynili przysługę mówiąc:— Ożeń się, albo:— Porzuć zamiar ożenienia się.

Tak z jednego jak z drugiego byłbym zadowolniony. Dokuczała mi tylko niepewność. Radziłem się więc méj szanownéj opiekunki, która tak chętnie podjęła się mego panegiryku — ona mi odpowiedziała:

Ach! związek dwojga istot, jest to przedmiot wielkiéj wagi! Dobrze zbadaj, i nie śpiesz się!— O! ja nie śpieszyłem się wcale, bo sześć miesięcy méj tak mozolnéj posady nadetatowéj nie przedstawiały mi prędkiego awansu. Ani mój przyjaciel, ani dama protegująca tak silnie wszystkich kandydatów do małżeństwa, ani ja sam, nie mogliśmy zdecydować się na krok stanowczy.

Nasz dobry proboszcz zaradził temu, mówiąc z ambony pewnéj niedzieli przed rozpoczęciem kazania: „Zapowiedź pierwsza, panny X. z panem..... Słuchałem z niespokojnością, serce mi biło! Byłaż to chęć czy obawa posłyszenia mego, a nie innego nazwiska? Nie umiałem zdać sobie sprawy, ale kiedy ksiądz skończył to ogłoszenie, dodając wieczną formułę: „Jeżeli wiecie o jakiéj przeszkodzie”, badałem siebie i z méj strony nie znalazłem najmniejszéj. I owszem, uważając, że rodzice młodéj panny, wzięli moją opieszałość za wahanie się (jakże znali serce ludzkie) i, że lubo nie oddawali mi córki, chcieli mnie przyjmować u siebie, widząc zalety dostateczne do gry wista, rozdmuchiwania ognia na kominku, otwierania drzwi pieskowi i t. d., byłem rozczulony, i taką przejęty wdzięcznością, że chętnie byłbym za to dziękował memu niedoszłemu teściowi; nie uczyniłem jednak tego, ale kiedy wieczór nadszedł, położyłem się i przespałem jak najsmaczniéj dziesięć godzin z rzędu.

We dwa dni późniéj, powróciłem do pana X. Córka jego przyjęła mnie bez żadnego zakłopotania, co mi wróciło zupełną swobodę. Rzeczywisty narzeczony był obecny,— chciałem go uściskać tyle mu byłem obowiązany za uczynioną mi usługę. Wieczór przeszedł bardzo przyjemnie i czułem się swobodnym. Ale dla czego przez sześć miesięcy doznawałem niepokoju. Dla czego?— Dzięki tajemnicy jaką osłoniłem to moje opowiadanie, mogę na to odpowiedzieć: panna X. miała jedną wadę! Jedną tylko! cóż za doskonałość!! Tak jednę— a ja mam ich sto— tysiąc— ale ta jedna— ach! ta wada... I znowu źle spać będę, bo wszystkie cierpienia ubiegłéj epoki przychodzą mi na pamięć. Moja niedoszła narzeczona była zazdrosną!... Czy znane wam są wrażenia i usposobienia natury zazdro-

snéj? Ja jéj nierozumiałem, ale widziałem z bliska. Kiedy Azalea znajdowała się w gronie swych towarzyszek ładniéj od niéj ubranych, nie bawiła się wcale. Kiedy śpiewała jaką nową arję, nie wolno było nikomu uczyć się téj samej, a tém mniéj zaśpiewać lepiéj od niéj. Czy to w kółku domowem, czy przy grach towarzyskich, czy na balu, gdziekolwiek dostrzegła w innych wyższość, okazywała niechęć, nieufność, i nabierała cierpkiego obejścia. Hołdy kilku niczem były dla niéj. Ona pragnęła widzieć wszystkich zachwyconych swą osobą.

Hasłem jéj było: wszystko lub nic, ztąd wyradzały się wymagania, grożące tyraństwem. To mnie zatrważało.

Była chwilka, (tak mi się zdawało), że Azalea miała główkę zajętą myślą, że częste moje odwiedziny mają cel ważny. Sądziła pewnie, że wszystkie te czułe słowa i tulipany, są przepowiednią oświadczenia się mego o jéj rękę. Nateczas stała się wymagającą, zazdrosną. Byłoby to arcy zabawne, gdyby nie szło o wspólne szczęście.

Otóż pewnego dnia zdarzyło mi się przemówić kilka uprzejmych słówek do ślicznego, pełnego prostoty, szesnastoletniego dziewczęcia. Dąsano się trzy dni z rzędu. Raz znowu byłem tak niezgrabny, że pochwaliłem śpiew jednéj młodéj cudzoziemki, dąsano się dni cztery. Innym razem tyle nierozważny, że w przeciągu jednego wieczoru tańczyłem dwa kontredanse z damą, któréj rozmowa była bardzo zajmująca— dąsano się przez dni pięć. I tak z jednego niepowodzenia wpadałem w drugie, bo charakter wesoły i ufający nie umie być przebiegłym, doszedłem więc do dąsów całotygodniowych, po których następowała śmiertelna obojętność. Przybieranie zimnéj powierzchowności, jest to jedyny wybieg umysłów zazdrosnych.

Tak mnie to rozdrażniło, że biegłem do mego przyjaciela, przysięgałem mu, że byłem najnieszczęśliwszy z ludzi, że kobieta zazdrosna uczyniłaby mnie szalonym, a kiedy on mnie obojętnie odpowiadał, że trzeba się rozstać z mojem marzeniem, i odsunąć się od téj znajomości, smuciłem się i zaczynałem wyliczać wszystkie zalety jakie znalazłem w téj rodzinie, i przekonywałem go, że zerwać byłoby bardzo bolesném, tak jak przyspieszać bardzo niebezpiecznem.

O! nie— nie miałbym nigdy nocy spokojnéj gdyby nie nasz poczciwy proboszcz, który mimo woli tak zręcznie rozstrzygnął tę kwestję.

Przyjmowali mnie jednak ciągle państwo X. z serdecznością, i byłem zaliczony do codziennych gości, a panna patrzała na mnie obojętnem okiem. Od téj chwili czułem się swobodny i szczęśliwy. Jak ona wydała mi się wtenczas miłą, zachwycającą! ile prostoty, ile poufałéj uprzejmości. A jednak kiedy zajrzałem do mego zielnika, znajduję kwiat ten tak delikatny, tak wytworny, tak świetny zaliczony do roślin truciznę w sobie zawierających i wyczytuję taki o nich opis:

«Rośliny *zazdrośne* wymagają więcéj starania jak wszystkie inne, potrzeba im więcéj światła, więcéj ciepła. Jednakże najlepszy ogrodnik, mimo ciągłej przezorności, nie dojdzie do dostatecznego stopnia tych drobiazgowych starań, jakich wymaga natura tych roślin. Cień ich okrywając drugie kwiaty, wysusza ich soki i psuje ich zapach, dla tego trzeba je odosobniać. Między roślinami tego gatunku, znajdują się i takie, które nie psują soków otaczających je kwiatów, ale w takim razie roślina więdnieje i umiera;— zdarza się jednak, że umiejętna ręka, podtrzyma koronę tego kwiatu, ażeby nie pochyliła się ku ziemi».

Te pierwsze kroki moje tak niefortunnie skierowane, nie zmieniły zamiaru ożenienia się, i mimo doznanego zawodu, nie wyrzekłem się roli konkurenta, o czém już na początku pisma powiedziałem, przyrzekając opis trzech małżeństw chybionych.

We dwa lata później przeniosłem mieszkanie moje do Warszawy, gdzie w krótkim czasie zawiązałem dwie znajomości. Obiedwie prowadziły do bliskiego ustalenia losu mego! Otóż jak rzeczy poszły.

Malowałem źle, bardzo źle, pomimo tego, czy z przyczyny tego, byłem wielkim amatorem malarstwa. Szczególniéj lubiłem, te małe urządzenia, które przynoszą tyle szczęścia młodym artystom; sztalugi, gipsy, pędzle, słowem wszystkie materjały, które jeżeli nie obudzają natchnienia, są mu przynajmniéj niezbędne.

Szukając dobrego światła, nająłem małą pracownię na trzeciem pietrze. Widok był prześliczny i z okna mego natura dziwnie mi się ładną przedstawiła.

Po takiem w niebo wstąpieniu, przyjemnie się odpoczywało, przypatrując się miastu, jego przedmieściom i okolicom, które się tak szeroko rozwijały. Natrętni goście nie mieliby odwagi dojść do tego ustronia. Byłem więc sobą i u siebie, żyłem mojem rzeczywistem życiem, wśród biustów, płócien i szkiców. Ani jedna istota ludzka mi nie przeszkadzała. Dwie osóbki z drzewa, oto wszystko. Dwie osóbki które naginały się do myśli mojéj i były na przemian, a zawsze chętnie, pasterzami, królami lub filozofami. Jakie życie! cygara, dzienniki, książki! Widzę siebie jeszcze rozciągnionego w wielkim fotelu, palącego, czytającego, śpiącego, wszystko to nazywało się: *kształcić w sztuce.*

Wystawa sztuk pięknych gdzie inni malarze składali swoje arcydzieła, dla mnie zawsze była zamkniętą, ale za to, ile uniknąłem trudów i przykrości!

Ulica i numer mego zaczarowanego mieszkania, był znany tylko moim serdecznym przyjaciołom, a lubo pracownia moja była szczupłą, mieściliśmy się w niéj wszyscy, licząc nawet wiernych mi dwóch manekinów, i było nam obszernie.

Na drugiem brzegu Wisły miałem mieszkanie *urzędowe*. Swoboda artysty nie przepływała rzeki. Nudów, trosk i wszystkich przykrości doznawanych w téj drugiéj rezydencji, opisywać nie będę, wyraz *urzędowe* wystarcza. Gdybym zostawał w mieszkaniu tém od rana do wieczora, stałbym się ofiarą tysiąca drobnych utrapień towarzyskich, któremi nas cywilizacja hojnie obdarza; nie przesiadywałem więc w niém wcale, i tylko wieczorem zastać mnie tam można było.

Jednego razu, między dziewiątą a dziesiątą godziną miałem zaszczyt powitać u siebie pewnego, dobréj tuszy, wykrochmalonego jegomości, który znając jedną z rodzin zamieszkałych w tym samym co ja domu, przychodził do niéj często, i mnie także często odwiedzał.

Otóż tego dnia jegomość ten miał minę, jak to mówią, uroczystą. Wśród rozmowy krytykował spółczesnych, ich obyczaje i zwyczaje, a mianowicie wadę jaką mają, żenienia się dopiero po skończonych trzydziestu latach.

Rozmowa jego stawała się coraz słodszą, i upominał mnie przyjaźnie, abym spieszył się porzucić stan bezżenny.

Nakoniec z wytrwałością, zaczynając swoje dowodzenia od dwunastu synów Jakóba, przeprowadził mnie przez wszystkie wieki, aż do naszych czasów, i dodał, że w téj właśnie chwili, przebywa w tym samym domu nawet— panienka wykształcona, któréj rękę mógłbym otrzymać, gdybym się jéj podobał; podług niego był to *jedyny* warunek. Tylko jeden, i nieszczęście chciało, że to właśnie ten, a nie inny.

Podobać się! cóż trudniejszego? Podobać się nieznajoméj. Najpierw trzeba poznać jéj gusta, upodobania, przyzwyczajenia. Nieszczęśliwy konkurent poświęca na to całe dwa miesiące, wtenczas kiedy on, biedny człeczyna, zostaje w dwóch dniach poznany, osądzony i często skazany.

Tak niespodzianie przedłużona wizyta tego pana, zakończyła się wymówieniem imienia, które mi szepnął do ucha żegnając, i w chwili kiedy już drzwi za nim zamykałem.

Dopóki moja nowa narzeczona była dla mnie w rodzaju zagadki, mogłem odgadnąć ją lub nie— ale powiedziano mi jéj imię! odtąd byłem odpowiedzialny za moją przyszłość, tak przed tym jegomością, jaki przed samym sobą. I znowu wpadłem w usposobienie wahające się. Ta młoda osoba mieszkała w tym samym domu, nazywała się... nazywała: *Narcyza*. Była to córka mego sąsiada, *panna z drugiego piętra*, jak ją nazywała stróżka.

A więc te perłowe gammy, które mnie co wieczór kołysały, z jéj ust wymykały się. Te śpiewki, te barkarolle, te recytatywa i wszystko to co mnie nigdy nie zachwyciło, przedstawiło się méj pamięci. Doznawałem czegoś nieokreślonego i uczułem serdeczny żal, że nie zamieszkałem w malutkim domku sąsiednim, gdzie dwaj lokatorowie mieli tylko synów. Być pod jednym dachem z panną na wydaniu, jakież to drażliwe położenie! Zamyśliłem się. Już było późno, gdy mnie wyrwała z zadumy gamma chromatyczna, ta gamma wymęczona przebiegła w krótkości moją teraźniejszość, przyszłość, i całe moje ożenienie. Wstałem wzburzony, wzruszony, niespokojny — a ponieważ słyszałem, że zmiana miejsca sprowadza czasem pokój wewnętrzny, uciekłem do méj pracowni, gdzie rzeczywiście znalazłem ogień na kominku — pędzle— jednem słowem wszystkie przedmiota méj miłości, a nic takiego coby mnie przypominało nowe projekta, bo tam nie dochodził mnie dźwięk gammy. Tam przyjaciel jeden przyszedł mnie odwiedzić. Chciałem mu opowiedzieć moją historję, lubo mi to nie sprawiało przyjemności. Ale on pierwszy rzekł do mnie z zimną krwią i dziwnie komiczną fizognomją, „mój kochany znalazłem dla ciebie żonę.”

— Mówmy o czem innem, odpowiedziałem niedbale.—Słowa jego pognębiły mnie zupełnie, ale chciałem ukryć nieprzyjemne wrażenie. Okrutny! z całą dobrodusznością i szczerym uśmiechem, chciał mówić daléj, i mówił też całą godzinę; o czem? o narzeczonéj! Tak jest, o innéj, o drugiéj, i ta druga mieszkała w tym samym domu, o sto schodów niżéj od tego miejsca wypoczynku, które sobie obrałem ażeby umknąć przed światem. Była to córka mego gospodarza, znakomitego artysty. Chodziłem co tydzień z najspokojniejszą myślą, brać lekcje malarstwa, w pracowni pana G. Tak mi było wygodnem jego sąsiedztwo! Ale gdybym wiedział, że ma córkę — nie śmiałbym być uczniem tego mistrza, obawiałbym się poznać, zająć się tą młodą osobą, i myśleć o stałem postanowieniu, co mi się zawsze zdawało niepodobnem. Mój dobry Gustaw wyśmiewał się z mojéj zakłopotanéj miny i powtarzał mi, sądząc, że mnie tem doda odwagi, «że pan G. widzi we mnie odznaczający się talent—że polubił mnie dla tysiąca przyczyn—że to jest dostatecznem, ażeby znaleźć szczęście w tém kółku artystycznem, gdzie serce mówi tak głośno, tak tkliwie, i zostać zięciem mistrza.

— Zazdroszczę ci twego położenia, rzekł jeszcze Gustaw. Panna śliczna, zachwycająca! Dalejże do dzieła! Wreszcie obecny nasz tryb życia nie może trwać zawsze; nie czynimy nic złego, ale i nic dobrego, bezużyteczne więc spędzamy życie. Wszakże sam przyznasz, że mężczyzna stworzony jest, ażeby panował. A ty kim rządzisz? „Ogniem na kominku," odpowiedziałem prostując się, w dowód czego dorzuciłem jeszcze dwa drewna. Ale napróżno obracałem wszystko w żarty, nadaremnie chciałem zwalczyć moje pomieszanie, musiałem wyznać Gustawowi mój podwójny kłopot.

— Co czynić? zawołałem. — Co czynić? wykrzyknął opryskliwie Gustaw. — Oto porzuć gammy i barkarolle — musiałbyś oczekiwać sześć miesięcy na dzień przyjęcia, a dwa lata na stosunki ściślejszéj znajomości. Wreszcie dzisiejszego wieczora idziesz ze mną do pana G. — Jakto? zapytałem. — Tak jest, odrzekł—już to ułożone.—Oddawna przyjmowany jestem w téj rodzinie; wiedząc o przyjaznem usposobieniu pana G. dla twojéj osoby, postąpiłem jak dobry kolega i prosiłem panią G. o pozwolenie przedstawienia jéj jednego z mych dobrych przyjaciół. A że wkrótce ma być u nich bal, mówiłem, że niezmęczony z ciebie tancerz.

Co tego to już było zanadto—wprowadzano mnie w obce progi, kazano mi bawić się, tańczyć — co więcéj! żeniono mnie. — Tam—pół słówkiem mówiono—co mi było znośniejszem, tu—zdążano wprost do celu, nie zostawiając mi czasu do namysłu! Ach! Gustawie! jakże to nieszczęśliwie być ofiarą twego przedsiębierczego geniuszu, twéj bujnéj imaginacji, twego wspaniałego serca! Napróżno zrobiłem kilka uwag, Gustaw nie opuszczał mnie na chwilę, obecnym był mojéj toalecie i wprowadził mnie w dom, gdzie miał ukazać mym oczom tę jasną gwiazdę, która miała przyświecać mojemu życiu.

— Ona tak zajmująca, mówił Gustaw, przytem artystka w muzyce, malarstwie i poetka... zobaczysz i przyznasz sam ile zalet posiada. Widziałem! Ta piękna dziewica była taką, jaką mi ją skreślił. Mogłaby natchnąć Rafaela, a co trudniejsze, we mnie nawet obudziłaby natchnienie. Patrzyłem na nią bez przerwy od godziny 10éj do 2éj, potem poszedłem na noc do drugiego domu i okropna ogarnęła mnie bezsenność. Dla czego? Bo w téj piękności obdarzonéj wyższym umysłem, dostrzegłem piętno pychy, przesady i próżności. Jednem słowem, brak jéj było prostoty, zawsze pozowała, głos jéj nawet zmieniał się przez intonacje wystudjowane. Żona która wiecznie pozuje! wykrzyknąłem. Nie, mnie potrzeba innéj towarzyszki. Mam wreszcie w mej pracowni dwóch manekinów, którzy jeszcze lepiéj pozują, jak ta piękna pani. Tak rozmawiałem z sobą, podczas téj bezsennéj nocy i gniewałem się szczerze na Gustawa. Nakoniec usnąwszy nad ranem, zostałem nagle przebudzony trelem i ruladą. O rulado! przerzuciłaś mnie w świat innych marzeń, w tobie położyłem całą moją nadzieję, i usiłowałem wygładzić z méj pamięci piękne widmo dnia ubiegłego. Dziwny losie!

Widmo ukazywało mi się nieprzestannie z tą dumną postawą, czołem anielskiem, tym głosem który sam stanowił całość harmonji. Jakto! wykrzyknąłem, więc ja nie należę już do siebie? otóż chcę i muszę odzyskać mą niezależność.

Tego samego dnia, miałem zaszczyt złożyć bilet wizytowy mojemu sąsiadowi panu L., uroczystość nowego roku upoważniała mnie do tego. Wieczorem, w chwili kiedy oparłszy nogi o kominek, byłem gorliwie zajęty chęcią oddalenia z myśli méj nieodstępnego widma, zadzwoniono i zobaczyłem wchodzącego szanownego mego sąsiada, który mój bilet otrzymał. Dotąd nie miałem żadnych innych z nim stosunków, oprócz zamiany ukłonów parę razy dziennie, spotykając się na wspólnych schodach.

Zapewnie korzystnie był o mnie uprzedzony, bo podał mi rękę z serdecznością, mówiąc że między sąsiadami nie składa się wizyt przez bilet, że ten zwyczaj jest nagannym i tyle mi okazał życzliwości, iż po upływie pięciu minut, czułem się tak swobodnym, jak powinien być zięć względem swego teścia. Prosiłem o zaszczyt przedstawienia się pani L. z wszelkiemi formami człowieka światowego. Mój sąsiad wziąwszy mnie pod rękę, rzekł do mnie: Ja sam pana zapoznam z moją żoną.—Chciałem zmienić ubranie, nie pozwolił i udaliśmy się do mieszkania, gdzie przebywała moja przyszła. Kilka tylko kroków przeszedłszy, wprowadzony zostałem do salonu, w którym te panie haftowały. Przyjęty byłem z odznaczającą uprzejmością. Wszystko podobało mi się w tem wygodnem lubo skromnem mieszkaniu. Jakiś niewypowiedziany wdzięk otaczał to kółko. A przytem panna Róża, nie będąc piękną, podobać się musiała przez nieopisany wyraz słodyczy; nieśmiałość czyniła ją trochę niezgrabną, a jednak dodawała wdzięku wszystkim jéj ruchom. Mówiła bardzo cicho i mało, ale w wyrazie jéj twarzy, odgadnąć można było piękne myśli, których nie śmiała wyrazić. Oczy jéj zwykle spuszczone, były obrazem czystości serca. Ach! jakże ona mi się podobała! Kobieta dobra, łagodna, pełna prostoty, była moim ideałem! I cóż milszego nad ten wzrok nieśmiały, nad to milczenie! Wyszedłem wzruszony, sen mój był przerywany. Nazajutrz uczyniłem postanowienie nie szukać już gdzie indziéj przyjemności, jakie

tutaj znalazłem. Późniéj, słuchałem śpiewu mojéj czarodziejki. Tysiąc razy słyszałem ją, ale nigdy nie słuchałem. A to są dwa oddzielne wrażenia. Dźwięk jéj głosu był czysty, srebrzysty, wpadający wprost do duszy. Zalety tego głosu odkryłem przez słuchanie, poprzednio zaś, kiedy ograniczałem się na samem słyszeniu, sądziłem zawsze, że solowe śpiewy mojéj sąsiadki, były jednostajne.

Ileż kroków uczyniłem na drodze złudzeń w przeciągu 24 godzin! Gustaw nie zastawszy mnie w méj pracowni, zdziwiony moją nieobecnością, przybył do mnie niespokojny.

Przyjąłem go niechętnie i zacząłem mu opowiadać o mojéj nowéj znajomości; poczciwy Gustaw zamilkł, i opuścił mnie smutny, bo spostrzegł że nasze stosunki zobojętniały. Widząc mnie tak zamyślonym, sądził że w krótce nastąpią oświadczyny, a nawet oznaczenie dnia ślubu.

W istocie ja sam uważałem siebie za człowieka, którego przyszłość odbija się na tle różowem; więcéj dbałem o ubiór mój, i we własnem przekonaniu stałem się odtąd ważniejszą osobą.

Pracownia moja została prawie opuszczoną, zaniedbałem malarstwo, a przez pociąg do muzyki łatwy do pojęcia, chodziłem codziennie na kurs muzyki instrumentalnéj, gdzie zapewniono mnie, że w sześćdziesięciu lekcjach, nietylko pojmować będę muzykę, ale nawet grać dobrze. Celem mojéj nauki, była chęć towarzyszenia pannie do śpiewu, rozmawiania z nią o muzyce, i przez zjednoczenie myśli, ustalenia między nami coraz wyższéj sympatji.

Czy że nie miałem zdolności muzykalnych, czy program kursu nie był dostatecznym, po pracy trzymiesięcznéj, nie umiałem nic więcéj nad gammy majorowe i minorowe, i jedną śpiewkę.

Ośmielony serdecznością Pana L. odwiedzałem dom ich, ale zawsze z umiarkowaniem, zasadą bowiem było moją, nigdy śpiesznie nie działać. Rodzice okazywali dobre dla mnie usposobienie, a nieśmiałość młodéj dziewicy pozwalała domyślać się, że nie byłem jéj obojętnym.

Jednakże od czasu do czasu mówiłem sobie: Jak można pragnąć za żonę kobietę, któréj myśli i uczucia są nam nieznane? Lubo widuję Różę, nie odgaduję ani jéj charakteru ani upodobań, wiem tylko, że jest muzykalną i że umie haftować. Reszta jéj umiejętności i przymiotów jest mi zupełnie obcą.

Uwagi te niepokoiły mnie; badać jednak nie pragnąłem.

Wiedziałem także że lubiła kwiaty, zajmowałem się więc z wielką przyjemnością pielęgnowaniem prześlicznych roślin, których urządzenie tworzyło rodzaj ogródka na balkonie pani L.

I ja byłem miłośnikiem flory. Umieściłem także na ganeczku okna mego, bardzo ładne kwiaty; dokładałem wszelkich starań, aby je uczynić godnemi miłego spojrzenia młodéj dziewicy, i składałem je w ofierze matce jéj. Jeżeli jaki kwiat hodowany ręką téj pani nikł i więdniał, prosiłem o pozwolenie przeniesienia go do mnie, a kiedy ciepło słońca i moja opieka, wróciły mu życie, odnosiłem na balkon pani L. przeprowadzając go pierwéj przez śliczne rączki jéj córki. Jak to wszystko było pięknem i miłem! Matka zdawała się być zachwyconą temi grzecznościami, może z powodu że namiętnie lubiła kwiaty.

Córka zaś w słowach bardzo była oszczędną, i oznaka jéj zadowolenia, objawiała się przez odśpiewanie arji z Kopciuszka, lub z Cyrulika Sewilskiego. Byłaż to nieśmiałość, czy ostrożność? obojętność, czy samolubstwo? Postać jéj jednak powinna mnie była uspokoić. Zdawała się być aniołem z oczami błękitu nieba, których urok, poeci zwykli opiewać w swych arcydziełach.

Jak mało potrzeba, aby zdjąć zasłonę z oczu, i zerwać całą przyszłość dwojga ludzi, dowodzi następujące zdarzenie:

Pewnego dnia, kłąb dymu ukazał się z mego pieca, za chwilę było go więcéj, tak, że musiałem otworzyć drzwi i okna; zdaje się, że skutkiem zmiany powietrza, ta sama nieprzyjemność spotkała mego sąsiada, bo drzwi jego, były na pół otwarte.

Za pomocą tych okoliczności, ucho moje dosłyszało słowa wymawiane głosem cierpkim i chrypliwym. Słuchałem.... był to głos młodéj osoby, pełen dziecinnego gniewu, płakała, tupała nogami, nie mogłem zrozumieć słów bez związku, które zdradzały nieporządek umysłu wzburzonego dziwactwem, kaprysami, i rozdrażnionego szalonem uniesieniem.

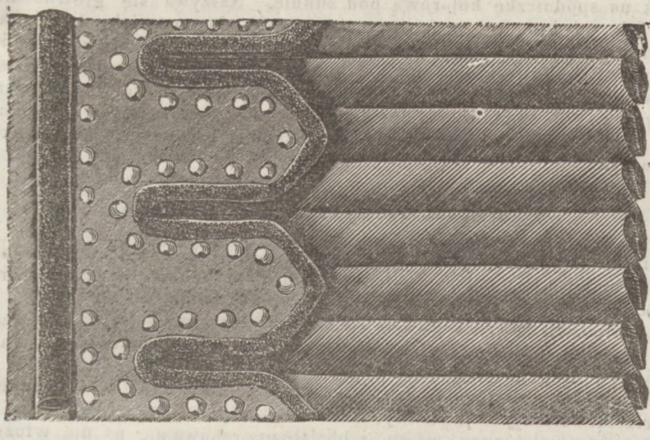
Gdzież mój anioł i jego oczy spuszczone, jego słowa nieśmiałe?

Wszystko to znikło z kłębami dymu. Ta okoliczność zapoznała mnie z jedną z tych scen domowych, które tak troskliwie ukrywają przed okiem starających się! O biedni oni!

Czułem się pognębiony, jak człowiek, któremu wydzierają słodkie uczucie wiary. W chwili gdy się to dzieje, stróżka przynosi mi list, i z miną złośliwą mówi do mnie poufale (czego już domyślałem się), że ten głos nieprzyjemny, był głosem *panny z drugiego piętra*, którą każda przeciwność przyprowadzała do spazmów. Milczałem, ale kiedy ta kobieta odeszła, porwałem konwulsyjnie za kapelusz, i przebiegłem całe miasto jak szalony, mówiąc sam do siebie: *(D. n.)*

Dodatek do Zeszytu IX, Kółka Domowego. 1867.

Garnirowanie do sukni krótkiéj.



Suknia ta, o dwóch spódnicach, jest z fijałkowéj popeliny. Spodnia ma falbanę z fałdami przyprasowanemi na jedną stronę, zwierzchnia zaś ma głęboko wycięte zęby objęte czarnym materjałem i naszyte czarnemi perełkami. Po nad zębami taśma czarna ma także u dołu perełki.

Dokończenie objaśnienia tablicy rysunków, dodanéj do poprzedniego poszytu.

Ner. 30 i 31. Litery atłaskiem.

Ner. 32. Kaftanik aksamitny z wyłogą jedwabną a szmuklerskiemi gruszeczkami na brzegu. Otwory na ręce obszywa się najwpierw jedwabiem, a potem białą falbanką odpowiednią obszyciu białego staniczka, który się pod spód bierze. Kokardy w miejscach oznaczonych na rycinie są jedwabne, zamiast końców sznurki jedwabne zakończone ozdobami dżetowemi.

Ner. 33. Mankiet haftowany atłaskiem, sznureczkiem atłaskowym cienkim i węzełkami.

Ner. 34, 35, 36 i 37. Cyfry.

Ner. 38. Szlak czarnym jedwabiem, ściegiem ościowym.

Ner. 39. Brzeg ozdobny, atłaskiem i dziurkami robiony, można go użyć na chustkę lub do koszuli damskiéj.

Ner. 40. Szlak do koszulki, jedwabiem na kolorowym materjale.

Ner. 41. Szlak ściegiem ościowym, lub atłaskowym.

Ner. 42. Szlak ściegiem ościowym, punktami i sznureczkiem atłaskowym lub sutaszem.

Ner. 43. Patarafka z lustrzanych paciorek. Wycina się, podług wskazanéj na tablicy formy tekturę i cienki perkal, wszywa się w krosienka aksamit w jasnym kolorze i na nim podług tektury odznacza się, najwpierw kredą, potem nitką formę: wycina się listki i kółka z perkalu podług deseniu i te naszywa na wyznaczonem kole aksamitnem w miejscach jak deseń wskazuje. Na tych listkach naszywa się paciorki białe lub jasne kolorowe; kołka ze środkami żółtemi; gałęzie ciemniejszym kolorem na rysunku oznaczone, robią się paciorkami zielonemi; cztery rzędy paciorek przy brzegu są lustrzane jako też i brzeg z ząbków przyszyty do brzegu aksamitnego, wychodzącego z pod naszycia paciorkowego. Tak wykończone koło, wykrawa się, zostawiając na brzegach dwa centimetry więcéj jak forma wskazuje i przyszywa do tektury mocna zawijając brzegi aksamitu pod spód i obciągając bardzo gładko. Na to podszewka przyszywa się do aksamitki.

Ner. 44 Obszycie złożone ze sznureczków jedwabnych lub kamelerowych, grubszych i cieńszych i z paciorek. Fastrygować sznureczki na deseniu narysowanym na tekturze; przymocować w miejscach gdzie przylegają do siebie i ozdobić paciorkami.

Ner. 45. Imie atłaskiem i punktami.

Ner. 46, 47 i 48. Ząbki i szlaczki.

Ner. 49. Obszycie złożone ze sznureczka grubszego i cieńszego i sieczki krótkiéj, robić jak Ner. 44ty uczy.

Ner. 50. Szlak, falbanka i cyfry na brzeg do poszewki dzierganym ściegiem ościowym.

Ner. 51. Szlak ściegiem ościowym i punkcikami z bawełny niekręconéj; brzegi sznureczkiem atłaskowym.

Ner. 52. Kołnierzyk odpowiedni mankietowi Ner. 24.

Ner. 53. Kołnierzyk odpowiedni mankietowi Ner. 33.

Ner. 54 i 55. Cyfry.

Ner. 56. Szlak na spódniczkę kolorową pod suknię. Naszywa się główne linje aksamitką szerokości jak na deseniu, ta przymocowywa się do materjału krzyżykami oznaczonemi na deseniu, które się robią jedwabiem białym; n. p. na czarnéj aksamitce brzegi przyszyć jedwabiem koloru aksamitki. Pętelki po brzegach aksamitki i dalsze, są ze sznureczka jedwabnego; medaliony wycięte z aksamitu tego koloru co wązka aksamitka; te się przyszywa do spódniczki ściegiem atłaskowym skośnym, a brzegi medaljonów, listki, łodyga i naszycie na medaljonie dać ściegiem ościowym. Brzegi aksamitką lub sutaszem naszyte.

Objaśnienie ryciny mód.

Fig. 1. Suknia z czarnego aksamitu, z podwójnemi rękawami. Garnirowanie z niebieskich wstążek, niebieskie guziki. Takiegoż koloru są rękawy węższe, szersze zaś niebiesko podszyte, ubranie na głowę także niebieskie, aksamitne.

Fig. 2. Suknia z jasnéj materji z dwoma spódnicami bez żadnego fałdu, zwierzchnia spódnica krótsza, wycięta w duże zęby, obszyte taśmą, perełkami haftowaną. Takie same obszycie dane jest u góry gorsecika.

Fig. 3. Suknia balowa z białego tiulu lub tarlatanu zgarnirowaną różową tuniką, ogarnirowana także riuszą. Naszyjnik z czarnych aksamitek i pereł, na głowie róże.

Fig. 4. Suknia z jasno-zielonego atłasu, z obcisłemi rękawami, na nią włożona suknia jasno-popielata z otwartemi i długo wiszącemi rękawami, obszyta rulonami z zielonego atłasu; zielone ubranie na głowę, kołnierz i mankiety z gipiury.

Fig. 5. Suknia z fijałkowéj popeliny z długim ogonem, stanik pod szyję zapięty na guziki z perełek i rękawy gładkie, pasek atłasowy ozdobny frędzlą, taka sama frędzla zdobi szew rękawów przy staniku; kołnierzyk i mankiety koronkowe, kapelusz z cienkiéj słomki z zielonemi ozdobami i czarną koronką.

O UBIORACH.

Chcąc zdać sprawę z nowości magazynów naszych, trzebaby zaiste więcéj miejsca, niż to, jakie zwykłę przeznaczamy na szczegóły tego rodzaju. Przebiegniemy więc pierwsze magazyny kolejno, i mówić będziemy o strojach wykwintnych, gdyż nie żal opisywać to co piękne, a z podanych wzorów kto zechce, może zrobić zastosowanie do skromniejszego ubrania.

Zaczynając od prześlicznych kapelusików pani Włodkowskiéj, powiemy to, cośmy poprzednio nadmieniali, że szerokich wstążek wiążących się pod brodą ani zobaczy; natomiast są wstążki wąskie, na dwa lub trzy palce szerokie, po których najczęściéj spuszczają się gałązki kwiatów takich, jak na wierzchu kapelusza, i schodzą się pod brodą, lub też pod kokiem, gdzie związana na kokardę wstążka, spływa długiemi końcami na plecy; pod brodą zaś krzyżują się szarfy, albo końce od woalika w rodzaju chusteczki. Z takiemi szarfami długiemi każda po dwa łokcie, a szerokiemi na pół, był kapelusz tiulowy czarny, haftowany perełkami, z pączkami róży nad czołem w półwieniec ułożonemi, przez kapelusz zaś szły wspomnione szarfy, spięte pod brodą bukiecikiem pączków, i skrzyżowane zarzucały sie na ramiona; powtórnie skrzyżowane na plecach tworzyły rodzaj chusteczki. Na wąskich czarnych wstążkach, które od boków kapelusza szły pod kok gdzie się wiązały, rozpinały się takież same pączki ułożone z liściami w długie gałązki. Drugi kapelusz równie czarny nakrapiany perełkami, ubrany był kwiatem

dziewanny nad grzebieniem i nad czołem. Z tyłu zwieszała się długa chusteczka niby owa mantylka, którą hiszpanki noszą na głowach. Ta chusteczka spadając końcem zaokrąglonym do połowy pleców, krzyżowała się spiczastemi końcami pod brodą, spięta żółtym kwiatem dziewanny. Nie mniéj strojny był kapelusik biały krepowy, z gęstym wieńcem niezapominajek i łzami kryształowemi nad czołem; z tyłu ponad grzebieniem przechodziły rzędem małe niebieskie podwójne kokardki, takież same wstążki przeznaczone były do przywiązania kapelusza z tyłu, a woalka biała z kryształową frędzlą, daleko krótsza od wspomnionéj czarnéj, spadała na kok i spinała się pod brodą Lecz jakiż jest kształt tych kapeluszy zapytacie może czytelniczki? Są to najczęściéj jakby płaskie bereciki, przedłużone tylko koło uszu szarfami lub koronką. Niektóre z nich przypominają główki dawnych kapeluszy, tylko większe a płasko leżące na głowie z powodu podniesionych z tyłu włosów. Ponieważ prawie nie mają ronda, więc je zastępuje znaczna ilość kwiatów, które się gęsto nad czołem układają. Czasem jest rondko, niby jaki brzeżek maleńki i wtedy u jego krańca daje się ubranie. Piękny był taki kapelusz ze słomki orzechowo złocistéj, przybrany w około riuszą jedwabną takiegoż koloru, wycinaną w ząbki. Była ona najsutsza nad czołem, z boku zaś wyglądała z pośród niéj śliczna róża żółta; szarfy z tarlatanu orzechowego przytrzymywały kapelusz pod brodą. Drugi bastowy także z maleńkiem rondkiem również z małą główką, ubrany był w takiż sposób fijołkami, które się przedłużały po obu stronach kapelusza na fijołkowéj wązkiéj wstążce, a białe szarfy z jedwabnego tiulu spinały go pod brodą. Okrągłe kapelusze słomkowe są to dawne zwane *Tudor*, ale jeszcze mniejsze z rondkiem w górę podniesionem, obszytem aksamitem, lub przepinanem liśćmi z dżetowych perełek. Garnirują się też całe w około fryzowanemi piórkami, lub mają nad czołem wpiętego motyla, rajskiego ptaka, lub inne płaskie pióro. I w tych okrągłych podziwialiśmy ową piękną słomkę orzechowo-złocistą, z któréj wyrobiony kapelusz jest skromnym i eleganckim zarazem. Słowem forma kapelusza dzisiejszego jest tylko jakby szkicem, na którym biegła ręka, kierowana wytwornym smakiem, gruppuje fantazyjne ozdoby z prześlicznych kwiatów, lekkich koronek, błyszczących kryształów i dżetu. Ale jak tu takie fantazje włożyć niemłodéj kobiecie? Robią wprawdzie niejakie ustępstwa, przedłużając boki kapelusza do uszów i pokrywając je kwiatami. Ale jakże to wszystko jeszcze jest dalekie od stroju poważnéj babuni!... Ta więc mieć musi swoją modę osobną, lekceważącą paryzkie koncepta.

Kiedy kapelusze są mniejsze jak dawniejsze czepki, można miarkować jak są małe ubrania na głowę. Jedno z takich zwróciło naszą uwagę. Na wierzchu głowy 6 płaskich pukielków z niebieskiéj wstążki na tył idących, uwieńczonych było z przodu konwalją z kryształem i niezapominajkami; róża bez liści pokazywała się z boku. Takież róże w pewnych odstępach przypinane były na kryształowéj torsadzie, na palec szerokiéj, która rozchodząc się od dwóch boków stroika, zwieszała się na plecach, a na lewem ramieniu przypinała się bukiecikiem do sukni.

PRZEPISY OGRODNICZE.

Zasady ogólne pielęgnowania kwiatów w pomieszkaniach.

(Ciąg dalszy.)

13. Oznaczenie jak często i obficie podlewać potrzeba rośliny, jest niemożebnem, czynność ta bowiem zależy od stanu pogody. Co się zaś dotycze podlewania roślin utrzymywanych w pokojach, o tém już powyżej mówiliśmy. Na wiosnę i w jesieni, kiedy noce są chłodne, w lecie zaś podczas upałów, nie należy podlewać roślin w skwarne gorąca. Jeśli zaś niektóre rośliny tak wyschną, że zaczną blaknąć, wtedy umieścić je należy w miejscach zacienionych i tam dopiero podlewać. W razie długo trwającéj suszy, należy liście, łodygi i gałęzie skrapiać wodą, skrapianie zaś podobne, nader ożywczo działa na rośliny i znakomicie dopomaga bujnemu ich wzrostowi.

14. Jeśliby wypadkowo rośliny zachwycone zostały niespodziewanym przymrozkiem, wystrzegać się wtedy należy wystawiania na działanie promieni słonecznych, lub też umieszczania w ocieplonych pokojach. W takim razie ustawić je potrzeba w jakim zaścianku, lub też w izbie nieopalanej, gdzieby zwolna odmarzły. Inaczej postępując, można być pewnym zupełnej obumarłości i straty całej kwiaciarni.

15. Nie małej wagi rzeczą, jest przysposobienie ziemi, aby przy przesadzaniu, każden gatunek roślin umieścić w ziemi dla niego właściwej, Najlepszemi materjałami do utworzenia ziemi ogrodowej, są: liść drzewny, wióry, trociny, zielsko ogrodowe i t. d. zgromadzone na kupy po kilka lat leżące i od czasu do czasu przerabiane, dla poddania ich działaniu słońca, wilgoci i powietrza, Do liczby lekkich gatunków ziemi, należy łąkowa, używana po największej części przy przesadzaniu wszystkich gatunków erica (wrzosu). Czysta, bez żadnej przymieszki podściołu mierzwa bydlęca, szlam, ziemia ogrodowa, darń z czarnoziemistych gruntów, przegniły nawóz, z dodatkiem jednej trzeciej części grubego piasku rzecznego, złożone w kupy kompostowe i przez lat kilka przerabiane, dają prawdziwie dobrą ziemię ogrodową, o jakiéj nadmieniliśmy pokrótce z tego względu, aby powiadomić czytelniczki, iż kwiaty w zwyczajnéj ziemi utrzymać się nie mogą, lecz jedynie tylko w umyślnie przysposabianéj na ten cel ziemi ogrodowéj, jakiéj w razie potrzeby nie trudno jest dostać u ogrodników.

16. Przy przesadzaniu drzew pomarańczowych, mirtowych i innych niektórych, potrzeba być bardzo względnym na wzrost, kwiat i zdrowie. Jeśli jakakolwiek bądź roślina, przesadza się z ziemią do innego naczynia, takowe w średnicy nie powinno być szersze od dawnego nad jeden do dwóch cali najwyżéj. Małą roślinkę, umieszczać należy początkowo w małem także naczyniu, które zamienia się na większe dopiero z czasem, w miarę wzrostu. Bujno wzrastające rośliny, przesadzać należy regularnie we dwa lata w coraz większe naczynia, napełnione zawsze świeżą ziemią ogrodową, dla dostarczenia prędko wyrastającym korzeniom świeżego i obfitego pokarmu.

17. Nie należy nigdy przesadzać roślin przed bliskiem zakwitnięciem a tem bardziéj w porze samegoż kwitnięcia; tym bowiem sposobem powstrzymuje się wzrost, oraz osłabia się kwiaty. Najlepiéj jest przesadzanie dopełniać w miesiącu kwietniu, po którem rośliny znakomicie się pokrzepiając, okrywają się obficie piękniejszem kwieciem. *(D. n.)*

KÓŁKO DOMOWE

Miesiąc Maj 1867 rok.

